

Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07...

Jan Koprowski

MASKOTKA



I

Słońce świeciło w tym dniu wyjątkowo mocno już od wczesnych godzin rannych, ale Andrzejowi żal było budzić śpiącego, smacznie i głęboko przyjaciela. Kiedy jednak stwierdził, że już najwyższa pora udać się na śniadanie, aby nie zastać zamkniętych drzwi jadalni, zaczął nim bezceremonialnie potrząsać i wołać:

- Panie kapitanie, panie kapitanie, natychmiast ma pan stawić się w komendzie z polecenia pułkownika Sroki. Sprawa bardzo pilna. Samochód czeka już przed domem.

Na ustach śpiącego kapitana Górskiego pojawił się błogi uśmiech. Przeciągnął się leniwie i powoli otworzył oczy.

- Nie szarp mną tak mocno, człowieku, bo i tak niewiele wskórasz. Nie ma wezwań, nie ma morderstw, nie ma telefonów, nie ma pilnych spraw. - Czy to nie piękne, Andrzeju? Górski spojrzał na stojącego nad nim przyjaciela ubranego już w sportową koszulę i spodnie z teksasu.

- Masz rację, kapitanie, ale pora już wstać - nie ustępował Andrzej ściągając pled z Górskiego.

- Dobrze, już dobrze, wstając Górski usiadł na łóżku i głęboko westchnął.

- Ty zawsze wszystko wiesz, to na pewno dowiem się od ciebie, kto wymyślił urlopy. - Powiedz, czy ten człowiek nie powinien być uznany za dobroczyńcę ludzkości?

Andrzej z powagą pokiwał głową:

- Zadziwiasz mnie nieraz swoją wnikliwością - umysłu. Ja na przykład zastanawiam się od pół godziny nad tym, kto wymyślił śniadanie. Co ty na to? - uśmiechnął się wiedząc, że strzał będzie celny.

- Diabelnie już późno Górski spojrzał na zegarek i natychmiast stracił ochotę do dalszego filozofowania. Szybko wstał i pobiegł do łazienki.

Po kilku minutach kapitan Zenon Górski ze swym przyjacielem Andrzejem Wirskim zeszli do jadalni pensjonatu. Obaj przybyli tu przed kilkoma dniami na wypoczynek, uciekając przed gwarem i ludźmi. Wybrali celowo Wirciny, małą, cichą osadę w pobliżu Międzyzdrojów.

Przyjaźń, jaką zawarli jeszcze na uczelni - obaj studiowali matematykę - utrzymywała się ciągle, mimo że ich drogi życiowe całkowicie się rozeszły, i to niespodziewanie. Zenon

Górski, który należał do najlepszych studentów roku, osiągał zawsze dobre wyniki i zdaniem wykładowców miał wszelkie zadatki na dobrego matematyka. Wywołał więc niemałe zdziwienie, kiedy odrzucił propozycję objęcia asystentury po ukończeniu studiów. Tego jeszcze w historii wydziału nie było, aby student rezygnował z takiej szansy, jaką daje możliwość pracy naukowej.

- A co ty chcesz robić? - zapytał zdziwiony profesor, który kierował jego pracą magisterską i wysoko oceniał zdolności Zenka.

- Pójdę pracować do milicji odparł Górski.

Ta prosta odpowiedź zaskoczyła wprost starego profesora.

- Ty do milicji? Po co więc studiowałeś matematykę - oszalałeś?

- Wcale nie - odparł spokojnie Górski. Wykształcenie matematyczne rozwija inteligencję i przydaje się w każdym zawodzie. Tyle razy słyszałem to podczas studiów...

- Masz rację. - Profesor szybko skapitulował, kiedy usłyszał swój własny, często wypowiediany pogląd.

- Idź więc do tej swojej milicji, tylko oszczędzaj roztargnionych matematyków, gdy przez pomyłkę kogoś zamordują - zażartował.

- To jest dla mnie jasne tak samo jak dwa razy dwa - odparł z udaną powagą Górski i w ten sposób rozstał się z uczelnią.

Podjął pracę w Biurze Kryminalnym Komendy Głównej MO. Już wkrótce osiągnął w niej pierwsze sukcesy i zaczęto zaliczać go do grupy oficerów, którzy potrafią pracować samodzielnie. Przełożeni cenili go za jego inteligencję połączoną z rzetelnym pogłębianiem wiadomości potrzebnych w pracy oficera śledczego.

Odmowa przyjęcia asystentury przez Górskiego stworzyła z kolei perspektywę tej pracy Wirskiemu, bo do niego właśnie wystąpiono z taką propozycją. Został więc na uczelni, w ciągu kilku lat zrobił doktorat i obecnie był na półmetku swojej pracy habilitacyjnej.

Urlop, który spędzali w Wircinach, był ich pierwszym wspólnym urlopem. Wybrali małą, zaciszną miejscowość, aby odpocząć w pełnym tego słowa znaczeniu, a także przedyskutować wiele nurtujących ich problemów, od sercowych począwszy, a na zawodowych i społecznych kończąc. Podczas dość rzadkich spotkań chętnie rozmawiali na tematy zawodowe. Górski zawsze był ciekaw, co się dzieje na wydziale matematyki, a Wirski chętnie i z zainteresowaniem wysłuchiwał opowieści przyjaciela o ciekawych przypadkach w kryminalistyce. Tym bardziej, że Górski rozwiązał kilka zawiłych spraw, co postawiło go w szeregu znanych i cenionych oficerów Biura Kryminalnego.

Ten urlop spędzał właśnie po zakończeniu niezwykle pracowitego dochodzenia. Była to

sprawa wykrycia zabójcy kobiety, przy której zwłokach nie było żadnych dokumentów i śladów pozwalających na szybką identyfikację.

W jadalni Górski z wilczym apetytem rzucił się na chrupiące bułeczki, smarując je grubo masłem. Przy piątej westchnął z żalem w głosie.

- Jakie te bulki smaczne, gdyby w Warszawie piekli takie same.

Andrzej roześmiał się.

- To jest niemożliwe. Ale mam pomysł: poproś o przeniesienie w te strony na stanowisko komendanta posterunku, a będziesz je miał codziennie.

- Wiesz, że to jest niezły pomysł i kto wie, czy za kilka lat nie poproszę o to roześmiał się Górski.

- W porządku. Cieszę się. Będę przyjeżdżał tu na urlopy.

- A teraz kończ i chodźmy na plażę, słońce coraz wyżej.

Po chwili szli już w kierunku piaszczystych wydm, za którymi rozciągała się bardzo szeroka plaża, oddzielona od osady wąskim pasem sosnowego lasu, wzdłuż którego przebiegała szosa. Żeby dojść na plażę z pensjonatu, w którym mieszkali, należało przejść kawałek drogi ścieżka biegnącą równoległe z szosą.

- Patrz - Andrzej zwrócił uwagę Zenka, gdy znaleźli się w pobliżu miejsca, w którym skręcało się na plażę. Co to za zbiegowisko. Musiało się tam coś wydarzyć.

- Pewnie fala wyrzuciła wieloryba i jest zatarasowane wejście na plażę zażartował Górski.

- Zaraz się o tym przekonamy. Chodźmy szybciej.

W przydrożnym rowie leżał na wznak człowiek w jasnym ubraniu, bez oznak życia. Miał otwarte oczy, na policzku widniała smuga skrzepniętej krwi przebiegająca od nosa aż do ucha.

Górski obrzucił zebranych spojrzeniem. Było tu kilkanaście osób, w tym większość kobiet i dzieci. Wszyscy ubrani w stroje plażowe. Górski pamiętał większość twarzy wczasowiczów, którzy mieszkali w paru małych pensjonatach, domu funduszu wczasów i kwaterach prywatnych. Po dwóch dniach pogody plażowej wszyscy się już tu znali z widzenia. Wyczekująco spoglądali teraz na nowych przybyszów. Górski pochylił się nad leżącym i ujął go za rękę. Była zimna i sztywna. Nie miał wątpliwości, że człowiek ten nie żyje.

- Kto z państwa pierwszy odkrył zwłoki? - spytał patrząc na zgromadzonych.

- Ja z mężem - pośpieszyła z odpowiedzią korpulentna blondynka. - A potem przyszedli ci państwo wskazała na szczupłą, wystraszoną dziewczynę i wysokiego chłopaka z długimi włosami opadającymi aż na ramiona. - I wtedy mąż poszedł do telefonu, żeby wezwać

pogotowie lekarskie i milicję. Posterunek MO jest aż w Międzyzdrojach - dodała tonem osoby dobrze poinformowanej.

Górski chrząknął i zdecydowanie odezwał się do zebranych:

- Proszę, by państwo zaoszczędzili sobie przykrości i przeszli na plażę. Ja tu zostanę z kolegą. I pani może też zaczeka tu na męża zwrócił się do blondynki.

- Oczywiście - odpowiedziała zagadnięta, dumna z wyróżnienia i z faktu, że może tu najwięcej opowiedzieć.

Zebrani poszli posłusznie w kierunku plaży. Przy zwłokach został tylko Górski z Andrzejem i blondynka.

- O, już idzie mąż - wskazała ręką na mężczyznę zbliżającego się pośpiesznie ku nim.

- Zaraz przyjedzie pogotowie - zawołał z daleka. - Może jeszcze żyje. Milicję też zawiadomiłem - dodał oddychając głęboko ze zmęczenia.

Po chwili podjechały dwa samochody: pogotowie ratunkowe i radiowóz MO. Z pierwszego wysiadł lekarz z sanitariuszem, a z drugiego młody milicjant.

- Tu leży - Górski poinformował lekarza wskazując gestem na rów. - Zaraz ściągniemy naszą ekipę techników dodał.

- Rozumiem - lekarz domyślił się od razu, że ma przed sobą prawdopodobnie funkcjonariusza MO, niemniej spojrzał pytająco na milicjanta z radiowozu.

- Pan kapitan - milicjant ucieszył się wyraźnie na widok Górskiego i spróbował przyjąć postawę zasadniczą. - Melduje się...

- W porządku - przerwał mu Górski. - Połączcie mnie z Wydziałem Kryminalnym - polecił wskazując na radiowóz.

- A ty, Andrzej - powiedział zwracając się w stronę Wirskiego - idź na plażę, nic tu nie pomożesz. Spotkamy się wieczorem w pensjonacie. Jak dobrze pójdzie - dodał po chwili.

Sam zbliżył się do lekarza, który przystąpił do oględzin zwłok.

II

Gabinet komendanta posterunku w Międzyzdrojach mieścił się od strony południowej budynku. Wyposażony był w nowoczesne, estetycznie wyglądające biurko, dużą pomalowaną na biało szafę pancerną oraz stolik i kilka wygodnych fotelików. W jednym z nich siedział Górski sącząc kawę przygotowaną przez gościnnego dyżurnego milicjanta, przez uchylone

okno zaglądały do pomieszczenia promienie słońca i gdyby nieświadomość, co spowodowało tu kapitana, mógłby on uznać swój pobyt w tym pokoju za przyjemny odpoczynek.

Refleksje te przerwało wejście plutonowego Olszewskiego.

- Proszę, siadajcie - Górski wskazał plutonowemu fotelik naprzeciw siebie. - Co nowego?
- dodał spoglądając na przybysza.

Plutonowy wyjął chustkę i otarł spocone czoło.

- Ano jeszcze nic. Ale jakie ja mam szczęście, że pan kapitan spędza tu urlop - dodał z westchnieniem ulgi.

Kapitan spojrzał pytająco na Olszewskiego.

- Komendant w sanatorium, sierżant Koziół, który go zawsze zastępuje, zachorował, a pozostali koledzy jeszcze młodszy ode mnie - wyjaśnił plutonowy. Co ja bym robił z tym fantem?

Górski uśmiechnął się.

- Bez przesady, kolego. Co należało robić w pierwszej chwili, to sami też wiedzielibyście, a później dochodzenie i tak przejąłby Wydział Kryminalny Komendy Wojewódzkiej.

- Niby tak - przyznał plutonowy. - Tego wszystkiego uczyli w szkole, ale jakby człowiek tak został sam, to łatwo stracić głowę.

- A pana kapitana - dodał po chwili - widziałem już wczoraj wieczorem na ulicy, ale nie śmiałem podejść, bo pomyślałem, że i tak mnie pan nie pamięta.

- Rzeczywiście, nie przypominam sobie, gdzieśmy się zetknęli.

- Pan kapitan miał wykład, kiedy byłem w szkole w Słupsku. Wtedy zadałem panu pytanie, czy można zidentyfikować człowieka na podstawie jabłka, które ugryzł?

- Ależ tak, pamiętam to pytanie - Górski uśmiechnął się. Jeżeli was to nadal interesuje, a uda nam się szybko zakończyć tę sprawę, to wrócimy do tematu i omówimy możliwości identyfikowania człowieka na podstawie różnych śladów. Dobrze?

- Chętnie - plutonowemu twarz rozjaśniła się w uśmiechu. Kapitan spojrzał na zegarek, dochodziła już druga.

- Zdjęcia powinny być już gotowe? - spytał.

- Pójdę zadzwonić z dyżurki - plutonowy podniósł się z fotela i opuścił pokój.

Górski znowu powrócił do swoich myśli. Identyfikacja zamordowanego nie powinna być kłopotliwa. Był to człowiek w średnim wieku, lekko szpakowaty, raczej przystojny. Ubranie miał uszyte z tropiku w najlepszym gatunku. Wykwintna koszula i krawat oraz drogie pantofle sugerowały zamożność. Twarz miał mocno opaloną. Musiał więc przebywać prawdopodobnie nad morzem już od dłuższego czasu. Lekkie wgniecenie z tyłu głowy,

pokryte skrzepem krwi zlepionej z włosami, wskazywało, że zadano w to miejsce silny cios jakimś twardym przedmiotem. Brak jakichkolwiek zadrapań na rękach i twarzy oraz niezniszczona odzież pozwalały przypuszczać, że uderzenie w głowę było niespodziewane, że nie próbował walczyć, bronić się przed ciosem. Czy nastąpiło to w miejscu znalezienia zwłok, czy gdzie indziej? O jakiej porze zmarł?

Odpowiedzieć na te pytania mógł Górski dopiero po otrzymaniu wyników sekcji zwłok.

Pamiętał, że na palcu lewej ręki denata widać było jasny, nie opalony pasek skóry - ślad po szerokiej obrączce lub pierścieniu. Nasuwało się kolejne pytanie. Kto i kiedy zdjął ten przedmiot z ręki zamordowanego? Czy on sam, czy może morderca? A może przechodzień?

W kieszeniach denata nie znaleziono żadnych dokumentów i pieniędzy. Jedynie oberwany guzik od tylnej kieszeni w spodniach mógł świadczyć, że ktoś szybko i nerwowo penetrował kieszenie zamordowanego. Przeszukiwał chyba zbyt pośpiesznie i niedokładnie, nie zabrał bowiem dwóch biletów wstępu do restauracji „Kolorowa” w Międzyzdrojach, opatrzonych datą z poprzedniego dnia.

A więc jeszcze wczoraj zamordowany był w tej restauracji, prawdopodobnie w towarzystwie drugiej osoby.

Dlaczego jednak znalazł się w nocy czy nad ranem w Wircinach, jeśli tam nie mieszkał?

Na polecenie Górskiego milicjanci obeszlą wszystkie domy w Wircinach ustalając, czy nie mieszkał tu człowiek, którego zwłoki znaleziono przy drodze na plażę. Nie dało to żadnego rezultatu, a więc człowiek ten musiał mieszkać w innej miejscowości bądź bawił w tych stronach tylko przejazdem. Górski polecił okolicznym posterunkom, by natychmiast meldowały mu o wszystkich, zgłoszeniach zaginionych wczasowiczów. Nie łączył z tym jednak większych nadziei, bo wiadomo, że w okresie letnim, w gwarnych i atrakcyjnych miejscowościach wczasowych, opuszczenie na kilka godzin czy też na noc domu przez wczasowicza nie budzi jeszcze obaw i podejrzeń gospodarzy, że stało się coś niedobrego. Niemniej nie należało zaniedbać tej czynności.

Najbardziej liczył Górski na wizytę w restauracji „Kolorowa”. Klient z ubiegłej nocy, dobrze ubrany i reprezentacyjny, nie mógł ująć uwagi personelu. Z wizytą w restauracji się jednak nie spieszył, gdyż „Kolorowa” była lokalem nastawionym na rozrywkę i otwierała swe podwoje dopiero po południu. Poza tym chciał tam pójść, mając już zdjęcie zamordowanego.

Rozmyślenia Górskiego przerwał telefon.

- Obywatelu kapitanie zameldował milicjant z dyżurki - łączę ze szpitalem wojewódzkim.

- Pan kapitan Górski? Tu mówi doktor Sawicki. Jest już po sekcji. Nie stwierdziliśmy żadnych innych obrażeń poza tym uderzeniem w głowę. Cios był jeden, zadany z nienacka

przez silną osobę, bo wgniecenie kości jest głębokie i musiało spowodować natychmiastowy wylew krwi do mózgu.

- A czy coś wskazuje na jakąś walkę, na to, że napadnięty się bronił?

- Należy wykluczyć tę ewentualność. Gdyby zamordowany spodziewał się uderzenia, próbowałby niewątpliwie uchylić się przed ciosem. Wtedy uderzenie byłoby o wiele słabsze i raczej nie spowodowałoby natychmiast śmierci.

- Rozumiem - stwierdził krótko Górski. - I jeszcze ostatnie, sakramentalne pytanie, doktorze...

- Nastąpiło to - przerwał doktor Górskiemu w połowie zdania - prawdopodobnie między pierwszą a trzecią godziną dzisiejszej nocy. Protokół oddam za godzinę. Czy ma pan jeszcze pytania?

- Tak. Czy wykryło we krwi alkohol?

- Niewielką ilość. 0,6 promila.

- Dziękuję, doktorze - Górski odłożył słuchawkę na widełki.

O więcej szczegółów nie miał potrzeby pytać. Jeżeli śmierć nastąpiła natychmiast, a na marynarce i koszuli nie było żadnych śladów krwi, oznaczało to, że zbrodni dokonano w miejscu znalezienia zwłok. Czyżby denat odbywał taki daleki spacer? A może wyciągnięto go w tym miejscu z samochodu i zamordowano? Z kim był?

W drzwiach ukazała się postać plutonowego Olszewskiego.

- Są już zdjęcia.

- Jedziemy więc do „Kolorowej” - powiedział krótko Górski wstając zza biurka.

III

Restaurację „Kolorową” usytuowaną tuż nad morzem, z oszklonym tarasem wynoszącym się nad samą plażą, otwierano o drugiej po południu. Jedli tu obiady letnicy mieszkający w kwaterach prywatnych, które nie miały własnych stołówek. Do tego najdroższego w Międzyzdrojach lokalu przychodzili głównie ludzie z dużą gotówką. Mniej zamożni mieli do dyspozycji położoną niedaleko restaurację niższej kategorii i bar samoobsługowy.

Od godziny piątej w „Kolorowej” odbywały się wieczorki taneczne, a w późnych godzinach wieczornych - dansingi, które trwały czasem aż do świtu.

Gdy Górski z Olszewskim weszli do lokalu, wszystkie stoliki były zajęte. Z konieczności

więc kapitan, wbrew swym zwyczajom, musiał przystąpić wprost do działania.

- Przepraszam - próbował zatrzymać przebiegającego w stronę kuchni kelnera.
- Nie mam nic wolnego, proszę czekać - rzucił kelner, usiłując odejść od natręta.
- Chwileczkę, ja mam inną sprawę - nie ustępował kapitan. - Jestem z milicji - dodał.

Zza pleców Górskiego wysunął się Olszewski. Słowa kapitana i widok milicjanta w mundurze podziałały na kelnera.

- Czym mogę służyć? - zapytał uprzejmie.

Górski wyjął z kieszeni fotografię.

- Czy zna pan tego człowieka? Był on wczoraj gościem waszego lokalu - pokazał kelnerowi fotografię.

- Oczywiście - odpowiedział kelner bez chwili zastanowienia. - To jest przecież pan Władek.

- Kto to jest pan Władek? - indagował Górski.

- Jak to? - pytanie wydało się kelnerowi prawie że podejrzane. - Pan Władek to nasz stały bywalec wyjaśnił ze zdziwioną miną, że takie oczywiste sprawy mogą być komuś nieznane. Dziś jeszcze nie był na obiedzie - dodał.

- Jak się nazywa? Gdzie mieszka? - pytał kapitan dalej.

- My, proszę pana - kelner z godnością cedził wolno słowa - o takie sprawy nie pytamy naszych klientów, zwłaszcza takich solidnych jak pan Władek. - Ton i treść słów kelnera wywołały uśmiech na ustach kapitana. Znał ten rodzaj rozmówców i umiał dać sobie z nimi doskonałe radę. Nim jednak zdążył zadać kolejne pytanie kelnerowi, do rozmowy wtrącił się plutonowy.

- Odpowiadać należy po ludzku, jak pan kapitan pyta - skarcił kelnera Olszewski, patrząc na niego spod zmarszczonych brwi.

Ten stracił rezon.

- Przepraszam panów, ale ja naprawdę nie znam szczegółów życiorysu tego klienta zaczął już innym tonem. - Jestem tu pierwszy sezon. Na pewno powie o nim więcej kolega - wskazał ręką kelnera w głębi sali. - Zna on pana Władka jeszcze z poprzednich lat.

- W porządku, dziękuję panu - Górski skinął głową kelnerowi, który szybko odszedł do swoich obowiązków.

Kapitan spojrział na plutonowego:

- Wy zawsze tak ostro?

Olszewski zmieszał się i zaczerwienił.

- Wiem, że nie powinienem wtrącać się do rozmowy, ale jak taki cwaniak szuka

głupszych...

- Rozumiem - uśmiechnął się Górski - nie robię wam wymówek. Czasem rzeczywiście trzeba i ostro. Najważniejsze, żeby wyczuć kiedy i do kogo.

Nowemu kelnerowi Górski nie musiał się przedstawiać.

- Momencik, panie kapitanie, proszę przejść do tego pokoiku - wskazał ręką drzwi z napisem „pokój służbowy”, a ja zorganizuję sobie zastępstwo.

- Widzicie, jak szybko i sprawnie funkcjonuje wśród kelnerów system informacji - zauważył Górski, gdy usiedli wygodnie w głębokich, obitych skórą fotelach.

- W wojsku mówią, że łączność to nerw armii - popisał się wiedzą plutonowy.

- Słusznie zgodził się kapitan.

- A jeżeli chodzi o łączność u nas... - plutonowy nie zdążył dokończyć zdania, bo uchyliły się drzwi i wszedł kelner. Na tacy niósł trzy filiżanki kawy i wodę mineralną.

- Od firmy zwyczajowy poczęstunek. A może panowie pozwolą po kieliszeczku? Na upał dobrze to zrobi.

- Jesteśmy służbowo - wyjaśnił Górski:

- Przepraszam - kelner zmitygował się natychmiast. - Jestem do usług - spojrzał wyczekująco na Górskiego.

- Chciałbym wiedzieć wszystko o panu Władku, waszym stałym bywalcu.

- Wszystko o panu Władku? - zdziwił się kelner. - Wprost nie do wiary, że interesuje się nim milicja. A co on takiego zrobił? - spytał.

Górski uśmiechnął się.

- Czy nie zgodziłby się pan na taką formę rozmowy, że ja będę pytał, a pan odpowiadał? Bardzo o to proszę - dodał, łagodnie, lecz stanowczo.

- Ależ naturalnie, ja tylko z ciekawości - kelner zmieszał się wyraźnie i uśmiechem pokrył swe zakłopotanie.

Górski skinął głową na znak, że rozumie.

- Pan Władek to prawdziwy pan. Zawsze grzeczny, kulturalny, nigdy nikomu nie ubliży... - zaczął kelner.

- Spędzał tu urlop? - przerwał Górski. Grzeczność pana Władka wobec kelnera nie interesowała go specjalnie w tej chwili.

- Urlop? - Żartuje pan kapitan. - Jak się ma taki duży i dobrze prosperujący warsztat samochodowy, to można sobie pozwolić, żeby siedzieć całe lato nad morzem. I tak przyjeżdża on tu od lat.

- Zawsze samotnie? - zapytał Górski.

- Pan Włodek samotnie? Każdego roku była inna; a co za kobiety - palce lizać.

- A teraz?

- Ten rok to specjalny. Przyjechał także z ładną blondynką, ale mieszkają oddzielnie. Ona w domu wczasowym „Jutrzenka”, a on jak zwykle u babci.

- U babci? - w głosie Górskiego zabrzmiało zdziwienie, a jednocześnie i pytanie.

- Widać od razu, że pan kapitan nie zna Międzyzdrojów - kelner usiadł wygodniej w fotelu. Babcią nazywają tu panią Zdrojewską - zaczął wyjaśniać - wdowę po lekarzu. Gdy jeszcze żył doktor, to kupił tu najładniejszą willę „Bogdanę”. Po jego śmierci żona zaczęła wynajmować pokoje na lato przeważnie paniom z Warszawy, pan wie jakim. I wtedy wtajemniczeni zaczęli mówić: paniom od babci. Pani Zdrojewska ostatnia dowiedziała się, kim są te jej lokatorki. Powiedział jej o tym proboszcz. I tak została nazwana babcią - roześmiał się.

- Zabawne - podchwycił kapitan rozmowę.

- A dlaczego pan no, no...

- Bojarski - podpowiedział kelner.

- Tak, dlaczego Bojarski nie zamieszkał razem z blondynką?

- To są jego osobiste sprawy... - Kelner zawahał się z odpowiedzią.

- Proszę się nie obawiać - jesteśmy dyskretni.

- A jednak - kelner nie był zdecydowany.

- Proszę mówić wszystko powiedział kapitan z naciskiem. - Pan Bojarski nie żyje.

- O Jezu, co pan kapitan mówi. Jeszcze wczoraj wieczorem był tu u nas. To niemożliwe - z powątpiewaniem spojrzał na kapitana.

- A jednak to prawda. Proszę mówić o blondynce - polecił kapitan.

Kelner westchnął, pokiwał głową i zaczął mówić, chaotycznie, nie mogąc się uspokoić po tej wiadomości.

- To oddzielna historia. Pani Basia, bo tak jej na imię, jest mężatką i ma zazdrosnego męża, który być może będzie śledził jej kroki. Dlatego nie mogli razem zamieszkać. A mówiłem mu, że z ładnymi mężatkami to niebezpiecznie. Mężowie są zawsze zazdrośni. Czy on zresztą musiał zadawać się z mężatkami? Kiedy byłem u niego w Łodzi, to sam widziałem, jak na niego leciały młode, ładne dziewczęta. Takim to wystarczy prezent, kolacja i jest spokój. Czy nie mam racji? - kelner spojrzał na kapitana oczekując jakby aprobaty swych słów.

Ciekawy typek - pomyślał Górski przyglądając się rozmówcy. Skinął mu jednak potakująco głową.

- Pan bywał u niego w domu, w Łodzi? Czy Bojarski mieszkał sam czy z żoną?

- Od pięciu lat sam, jak go żona porzuciła.

- Uciekła? A w jakich okolicznościach? Z jakiego powodu?

- A kto ją tam wie. Ładna to była kobieta, pan Włodek ją kochał i niczego jej nie żałował.

Pozwolił jej wyjechać na wycieczkę do Paryża i na tym koniec.

- To znaczy? - kapitan domagał się szczegółów.

- Została tam, bo podobno zakochała się w jakimś Francuzie. Wtedy Bojarski przyjechał do Międzyzdrojów. Zaglądał często do kieliszka i przy tej okazji zaczął mnie obdarzać sympatią i zwierzać się ze swych przeżyć. Ja mu wtedy poradziłem, że najlepiej znaleźć drugą i sam mu wyszukałem ładną dziewczynę z Warszawy. To mu pomogło, bo od tej pory nigdy o swej żonie mi nie wspominał. W dwa lata później zaprosił mnie, żebym go odwiedził w Łodzi. W zimie nie pracuję, więc pojechałem na kilka dni. Gościł mnie wspaniale. Każdego wieczoru chodziliśmy do lokalu...

- Wczoraj Bojarski był tu ze swoją sympatią? - przerwał kelnerowi kapitan.

- Oczywiście. Tylko wyszli wcześniej niż zwykle. Około północy wrócili po tańcu do stolika i coś żywo dyskutowali. Wyglądało, jakby się kłócili. Oboje byli bardzo podenerwowani. Zaraz potem pan Włodek poprosił o rachunek i wyszli.

- A czy Bojarski nosił przy sobie większą gotówkę?

- O ile wiem, to nie, bo i po co? Najwyżej parę tysięcy. Pieniądze zawsze podejmował z PKO. Sam z nim byłem parę razy na poczcie.

- Pana zdaniem, komu mogło zależeć na śmierci Bojarskiego? - Kelner podrapał się w głowę.

- Polityką się nie zajmował, szachrować nie musiał, bo z warsztatu i tak płynęła duża gotówka, z nikim się nie kłócił... - Nikt, tylko zazdrosny mąż - dodał po chwili z przekonaniem.

- I jeszcze jedno: pan Bojarski nosił na lewym ręku pierścionek?

- Nie pierścionek, tylko złoty rodzinny sygnet. Pięknie grawerowany i z inicjałami. Chyba SB, jeśli dobrze pamiętam.

- Czy to był drogi sygnet?

- O tak, wart przynajmniej kilkanaście tysięcy złotych, a może i więcej - odparł kelner.

Pożegnawszy rozmownego kelnera, Górski z Olszewskim poszli do pensjonatu „Bogdanka”. Pani Zdrojewska, dystyngowana starsza dama, nosząca ślady dawnej urody, wiadomość o śmierci swego lokatora przyjęła z dużym poruszeniem. Była ona osobą rozmowną, pragnącą przy tym dowiedzieć się wielu szczegółów, toteż próbowała zaprosić

Górskiego na herbatę, ale ten grzecznie wymówił się brakiem czasu, który i tak naglił.

Bojarski wynajmował pokój na piętrze willi, z tarasem wychodzącym na stronę południową. Był to jedyny pokój wynajmowany na piętrze, gdzie mieszkała również pani Zdrojewska. Pozostali letnicy zajmowali pokoje na parterze. Wśród rzeczy i dokumentów, jakie znajdowały się w pokoju Bojarskiego, uwagę kapitana zwrócił duży notes z olbrzymią liczbą zapisanych adresów i telefonów oraz książeczka PKO. Ostatnie wypłaty pochodziły z Międzyzdrojów. Raz pięć, drugi raz siedem tysięcy złotych, w odstępach czterech dni. Poza książeczką PKO, dowodem osobistym i prawem jazdy zawartość szuflad stanowiło kilka koszul, garnitur, letnie spodnie, garderoba plażowa oraz dwa komplety kluczy do fiata stojącego na podwórku willi. W bagażniku, jak i w całym samochodzie nie było żadnych przedmiotów poza maskotką - małpką i narzędziami stanowiącymi wyposażenie wozu.

Po dokonaniu tego przeglądu kapitan zlecił plutonowemu, żeby pozostał w willi i przeprowadził rozmowy ze wszystkimi mieszkańcami pensjonatu. Chodziło o wyjaśnienie, kiedy i z kim widziano ostatni raz Bojarskiego. Czy wrócił z restauracji do pensjonatu? Poza tym należało wykonać niezbędne czynności związane z zabezpieczeniem rzeczy zmarłego. Sam Górski udał się na spotkanie z Barbarą Namirską.

IV

Widok pani Barbary Namirskiej przypomniawszy natychmiast Górskiemu słowa wypowiedziane przez kelnera z „Kolorowej”: "Nikt, tylko zazdrosny mąż".

„Ta kobieta jest nie tylko ładna, ale wręcz piękna" musiał przyznać patrząc na jej zgrabny biust i świetnie prezentującą się w letniej sukience sylwetkę. Kształtna głowa, lśniąco włosy, nieco rozjaśnione, upięte w kok, piękne zęby ukazujące się przy rozchyleniu namiętnych ust; zdrowa cera i duże, niebieskie oczy, czarne brwi niewątpliwie zwracały uwagę każdego mężczyzny. Słowem babka, z seksem, naprawdę warta grzechu - stwierdził Górski w myślach.

Na rozmowę Górski umówił się telefonicznie, wyznaczając miejsce spotkania w małej kawiarence w pobliżu jej domu wczasowego. Kiedy zatelefonował i po przedstawieniu się poprosił o rozmowę, przyjęła propozycję bez zdziwienia, jakby spodziewając się tego. Przepraszał, że zabiera jej czas i niepokoi podczas urlopu. Zapewniła go jednak, że rozmowa ta nie może zakłócić jej spokoju i nic nie ma przeciwko natychmiastowemu spotkaniu.

„Co ona miała na myśli mówiąc te słowa” - zastanawiał się siadając naprzeciwko tej ładnej kobiety.

Pani Barbara zachowywała się zupełnie swobodnie, spokojnie położyła długie, opalone dłonie na blacie stolika. Na palcach miała, obok obrączki, dwa pierścionki, jeden z brylantem.

- Poprosiłem panią, aby porozmawiać na temat pana Bojarskiego - zaczął Górski.

- Czy chodzi o to, że ja i pan Bojarski spędzamy urlop w jednej miejscowości? - przerwała.

- Nie tylko - odpowiedział powoli Górski.

- Przecież wszystkie sprawy związane z tym rachunkiem zostały wyjaśnione już w Łodzi spojrzała pytająco na kapitana.

„Gra, czy nic nie wie? O jakim ona rachunku mówi? Chyba chodzi o sprawy finansowe warsztatu Bojarskiego?” - zastanawiał się Górski, a głośno odezwał się:

- Możliwe, że tak, ale tych szczegółów nie znam. Ja zajmuję się czym innym. Poprosiłem panią, gdyż ostatniej nocy stała się straszna rzecz... - Zawiesił głos, ale rozmówczyni nie zareagowała. Nadal patrzyła spokojnie na kapitana. - A więc ostatniej nocy został zamordowany pan Bojarski - dokończył po chwili.

- O Boże, a jednak - z ust blondyny wyrwał się głośny szloch, który przeszedł w ciche łkanie.

Górski milczał taktownie i obserwował ją. Swoboda i spokój, z jakim przystępowała przed chwilą do rozmowy, prysły w jednej chwili. To już nie był ten sam człowiek. Załamana, biedna, szlochająca kobieta. Kochała go tak mocno, czy domyślała się sprawcy zabójstwa?

- Proszę pani - Górski delikatnie położył dłoń na rękę Barbary. - Proszę się uspokoić, ludzie patrzą na nas.

Wyjęła chusteczkę i ukradkiem otarła łzy.

- Tak, ma pan rację. Tak nie można.

Górski postanowił zacząć wprost.

- Kto go zabił? - spytał patrząc na nią badawczo.

- Ależ to jest niemożliwe - wyszeptwała. - Widziałam go przecież wczoraj wieczorem. - Czy pan się nie myli? - w oczach jej pojawiła się nadzieja.

- Nie proszę pani, nie ma tu żadnej pomyłki i ja orientuję się, że pani jest w stanie wskazać sprawcę - dodał z naciskiem.

- Ja miałabym wskazać sprawcę? Przecież ja dopiero od pana dowiaduję się, że Władek, to znaczy pan Bojarski, nie żyje. Och, gdybym to mogła przewidzieć - westchnęła.

- To co by pani zrobiła?

- Nikt by mnie nie zobaczył w Międzyzdrojach ani nigdzie na urlopie. Siedziałabym w domu.

- Pan Bojarski też by tu nie przyjechał - zauważył kapitan. - Wracajmy jednak do mojego pytania. Kto zabił Bojarskiego?

- Naprawdę nie wiem i nie chcę wiedzieć. Boże, co ja zrobiłam.

- Proszę powiedzieć, co pani zrobiła? - nie ustępował.

- Już panu mówiłam; nie powinnam, była przyjeżdżać tutaj.

Górski pokiwał głową na znak zrozumienia. Wyjął papierosy i podsunął w stronę pani Barbary.

- Nie palę - odpowiedziała.

- A ja mogę? - spytał.

- To mi zupełnie nie przeszkadza, proszę.

- Dziękuję - skinął głową i wolno zapalił papierosa.

- Nie jest dla mnie tajemnicą, jakie stosunki łączyły panią z Bojarskim. Stąd też i moje pytania. Czy uważa pani, że mógł to uczynić małżonek pani, pan Namirski?

- Zbyszek? - zawołała ze zdziwieniem - on nie zabiłby nawet muchy.

- Możliwe - zgodził się kapitan. - Gdyby dowiedział się jednak o pani romansie, to jaka byłaby jego reakcja? Czy wówczas też nie potrafiłby wpaść w gniew?

- Nie wiem, przeraża mnie to, o Boże - ukryła twarz w dłoniach.

- A więc tak, czy nie - nalegał kapitan.

- Męża przecież tu nie ma w Międzyzdrojach? - odpowiedziała pytająco.

- Tego, być może, nie wiemy oboje. Mógł być na przykład w nocy.

Dojrzał w jej oczach przerażenie. Otworzyła usta, lecz nie powiedziała ani słowa.

- Zgadza się pani ze mną - ponaglał.

Potwierdziła skinieniem głowy.

- Tak, ale czy go ktoś widział? Czy to jest pewne? - usiłowała uzyskać odpowiedź na swoje pytanie.

Kapitan pytał dalej.

- A o której godzinie wyszła pani z Bojarskim z „Kolorowej”?

- Około północy, dokładnie nie pamiętam.

- I dokąd poszliście państwo?

Władek odprowadził mnie do pensjonatu, sam miał iść prosto do domu.

- I nie umówiliście się państwo, jak zwykle, na plażę na dzień następny?

- Nie.

- Dlaczego nie?

Zawahała się chwilę.

- Chciałam być sama - odparła.

- Dziwne. Przyjechaliście oboje, aby przebywać tu wspólnie, a nie szukać samotności. Wczoraj wyszła pani z Bojarskim z lokalu wcześniej niż zwykle. Przed wyjściem byliście oboje rozdrażnieni. Może pani powiedzieć, dlaczego doszło między wami do ostrej wymiany zdań czy też kłótni?

- Skąd pan o tym wie? - w oczach jej na nowo ukazało się przerażenie.

- Proszę odpowiedzieć - zachęcił.

- To są nasze sprawy, ja naprawdę nie mogę o tym mówić - z jej oczu znów zaczęły płynąć łzy.

Górski odczekał chwilę.

- Pani Barbaro - zaczął - chciałbym, żeby pani uświadomiła sobie, że moim obowiązkiem jest znalezienie sprawcy zabójstwa Bojarskiego. Wszystko więc, co łączy się z jego osobą, nawet jeśli to stanowi tajemnicę innych osób, ma dla mnie znaczenie. Brak odpowiedzi na moje pytania utrudnia bardzo naszą pracę - wypada mi zatem uprzedzić panią, że jeżeli będzie pani odmawiała zeznań, to otrzyma pani wezwanie do prokuratora. Wtedy, po przesłuchaniu, spisany protokół odczytuje się na rozprawie sądowej. Zależy więc pani na rozgłosie czy dyskrecji?

Namirska niemo patrzyła na kapitana.

- Co pani wybiera: szczerą, dyskretną rozmowę ze mną czy urzędowe przesłuchanie? - odezwał się po chwili znów kapitan.

- Jak to? - nie mogła zrozumieć - co ja mam wspólnego z zamordowaniem pana Bojarskiego? Przecież takiego zarzutu nikt mi nie może postawić - zaczęła się bronić.

- Zarzutu nie - zgodził się, kapitan. - Ale przesłuchanie osoby, która spędziła ostatnie godziny życia z zamordowanym, jest obowiązkiem organów ścigania. W pani przypadku, jak już powiedziałem, można to uczynić w rozmowie takiej, jaką obecnie prowadzimy, bądź z zachowaniem drogi urzędowej: Pani szczerłość ułatwi nam pracę. Będziemy też zobowiązani do możliwego zachowania dyskrecji, na której tak pani zależy.

Skinęła głową w odpowiedzi.

- Powróćmy więc do pytania. Dlaczego doszło do wczorajszej sprzeczki w lokalu?

- A bo - zawahała się znów - pan Bojarski poruszał temat, którego sobie nie życzyłam. Znowu zaczął mówić, żebym wzięła rozwód i odeszła od męża.

- A pani tego nie chciała? - podchwycił kapitan.

- Proszę pana, ja mam dwoje dzieci, które muszą mieć ojca. O tym nigdy nie mogę zapomnieć. Jaką mogę mieć pewność, że drugi mężczyzna pokocha i zaopiekuje się moimi dziećmi?

- Słusznie. Wygodniej i pewniej mieć cichy romansik, żeby nikt nie wiedział.

- Może pan szydzić, ale ja naprawdę tego wszystkiego nie chciałam.. Gdyby nie ten nieszczęsny rachunek...

- Wspominała pani o jakimś rachunku już na wstępie naszej rozmowy. Co to był za rachunek i co to ma wspólnego z panem Bojarskim?

- Opowiem panu wszystko od początku, wtedy pan zrozumie, jaka jestem nieszczęśliwa.

- Bardzo proszę - kapitan wygodniej usiadł i zapalił nowego papierosa.

- Przed rokiem spółdzielnia w Pabianicach, w której pracuję jako księgowa, oddała do remontu dwa samochody. Pan wie, jak trudno jest o wykonawców, a ponieważ państwowe stacje obsługi dawały bardzo długie terminy, prezes wyszukał warsztat pana Bojarskiego, który wykonał zlecenie szybko. Rachunek wyniósł równe dziesięć tysięcy złotych. Płatny oczywiście przelewem. I tu zaczęło się nieszczęście. Moja pomocnica robiąc przelew do banku pomyliła się o jedno zero i napisała zamiast dziesięć tysięcy złotych aż sto tysięcy. Błąd ten wychwycili po kilku dniach kontrolerzy i wtedy zaczęły się podejrzenia. Przesłuchiwany był prezes i ja, bo oboje podpisaliśmy przelew. Na szczęście koleżanka stwierdziła, że to ona wypełniając na maszynie druki do banku popełniła pomyłkę, wobec czego prokurator sprawę umorzył.

- A pan Bojarski też nie zauważył, że na jego konto wpłynęło aż sto tysięcy zamiast dziesięciu?

- Twierdził, że nie. Wydawało się nam to na początku trochę dziwne, ale jak pokazał wyciągi bankowe ze swego konta, to trudno mu było nie uwierzyć.

- Dlaczego?

- Jego obroty gotówkowe sięgały kilku milionów złotych rocznie. Na jego konto wpływały wysokie sumy. Mógł więc nie zwrócić uwagi, kto jest płatnikiem. Prokurator też w końcu uznał, że tłumaczenia Bojarskiego są wiarygodne.

- I co dalej?

- Spotykałam się wówczas parę razy z panem Bojarskim wraz z prezesem mojej spółdzielni. Później Bojarski zadzwonił i zapytał, kiedy będę w Łodzi, bo chciałby się ze mną zobaczyć. Sądziłam, że chodzi mu jeszcze o ten rachunek, a że do Łodzi jeżdżę służbowo co kilkanaście dni - spotkałam się z nim. Był bardzo miły i tak się zaczęło.

- Czy mąż coś podejrzewał?

Zaczerwieniła się.

- Skądże. Ilekroć wracałam później, zawsze mówiłam, że wstępowałam w Łodzi do przyjaciółki.

- A ten samotny wyjazd na urlop nie wzbudził jego podejrzeń?

- Może, ale o tym nie mówił. Przygotowałam go już wcześniej, twierdząc, że samotny odpoczynek dobrze robi na ukojenie nerwów.

- Oczywiście - kapitan nie mógł sobie odmówić drobnej ironii, czego jednak nie zauważyła.

- Gdzie pracuje pani mąż?

- Jest kierownikiem sklepu spożywczego.

- Chciałbym zapytać jeszcze o jedno. Proszę się nad tym pytaniem zastanowić, zanim pani odpowie.

- Komu, oprócz ewentualnie męża pani, mogło zależeć na zabiciu Bojarskiego. Kto mógł mieć z tego jakieś korzyści?

Obserwował ją uważnie. Przez chwilę myślała intensywnie, w pewnym momencie miała jakby zamiar zacząć mówić, ale zawahała się.

- Słucham panią ponaglił ją po kilku minutach milczenia.

- Nie mam pojęcia - wyszeptała i znów zaczęła szlochać.

V

W kilkanaście minut później Górski przybył na posterunek milicji, gdzie zastał oczekującego go przyjaciela, który z emocji nie mógł usiedzieć w pensjonacie. Przez otwarte okna napływało przyjemne, ciepłe, morskie powietrze. Panował leniwy nastrój letniego wieczoru.

Kapitan zaprosił Wirskiego do gabinetu komendanta, a dyżurny milicjant przygotował mocną kawę.

Górski musiał oczywiście zrelacjonować Andrzejowi wszystkie swoje czynności z całego dnia i odpowiedzieć na niezliczone pytania przyjaciela.

- Tak, mój drogi - kończył swe opowiadanie Górski - do Łodzi jednak będę musiał pojechać. Na posterunku zostawię plutonowego Olszewskiego i... ciebie - zażartował. - A kto wie - uśmiechnął się kończąc - czy tu szybko nie wrócę, aby wspólnie z tobą jeszcze

popływać.

Wirski uśmiechnął się smutno i pokiwał głową. Otworzył usta chcąc coś powiedzieć, ale przerwało mu pukanie do drzwi.

- Proszę - zawołał Górski zadowolony, że nie będzie musiał słuchać biadolenia Andrzeja na temat zmarnowanego urlopu.

W uchylonych drzwiach ukazała się postać plutonowego Olszewskiego. Widząc kapitana w towarzystwie zapytał, czy może wejść.

- Proszę, siadajcie i mówcie - kapitan wskazał plutonowemu wolny fotel. - To mój przyjaciel, którego poznaliście już rano. Wkrótce wstąpi w nasze szeregi - dodał patrząc poważnie na Wirskiego.

- Bardzo słusznie, nie będzie pan tego żałował - plutonowy spojrzał życzliwie na Wirskiego, który się trochę zmieszał, nie wiedząc, co ma odpowiedzieć, ale przyjaciel przyszedł mu z pomocą zwracając się do plutonowego:

- Mówcie, słuchamy.

- Zgodnie z poleceniem - zaczął Olszewski rozmawiać ze wszystkimi mieszkańcami pensjonatu „Bogdanka”. Jeden z nich plutonowy zerknął do notesu - Jan Zalewski, z Łodzi, widział Bojarskiego w pobliżu pensjonatu około godziny pierwszej w nocy. Zalewski grał do późna w karty i wyszedł zaczerpnąć trochę świeżego powietrza przed snem. Gdy zauważył Bojarskiego, który stał na chodniku obok samochodu, myślał, że tamten pożegna się z kierowcą i może da się namówić na wspólny spacer. Poznali się w pensjonacie. Kilka razy ze sobą rozmawiali. Gdy jednak Zalewski podszedł bliżej. Bojarski wsiadł do samochodu, który natychmiast odjechał.

- Spytałyście go, co to był za wóz?

- Tak jest. Ulica w tym miejscu jest słabo oświetlona, ale Zalewski twierdzi, że był to fiat z rejestracją łódzką.

- To ciekawe - mruknął Górski.

- Ja też tak uważam - potwierdził Olszewski.

- Słusznie, bardzo słusznie - pochwalił plutonowego kapitana.

- A kto był w samochodzie?

- Zalewski zauważył tylko jedną osobę, kierowcę. Rysopis trudno mu podać, gdyż samochód odjechał w przeciwnym kierunku.

- Ciekawą informację przynieśliście, kolego. Powinniście odpocząć przed trudami, jakie nas czekają jutro.

- A czy... - nim plutonowy zdążył dokończyć zdanie, w drzwiach ukazała się głowa

dyżurnego:

- Jakaś pani chce pilnie rozmawiać z obywatelem kapitanem - zameldował.

- Poproście - polecił kapitan.

„Namirska czy Zdrojewska?” Nim jednak zdążył sobie zadać to pytanie, drzwi otworzyły się i weszła Barbara. Od razu zauważył, że zmieniła sukienkę, w której była na spotkaniu z nim w kawiarni przed godziną. „To ciekawe” - zanotował w pamięci.

Namirska wchodząc obrzuciła spojrzeniem dwu pozostałych mężczyzn. Zrozumiał natychmiast jej intencje.

- Panowie już wychodzą i nie będą nam przeszkadzać. - Proszę siadać - wskazał jej krzesło przy biurku, a sam usiadł po przeciwnej stronie.

W pół godziny później Namirska opuściła posterunek, a kapitan przeszedł do pokoju, w którym oczekiwali go Olszewski i Wirski. Obaj spoglądali z zaciekawieniem na Górskiego.

- Nic rewelacyjnego, jadę skoro świt do Łodzi - poinformował ich krótko.

VI

Rozmowa toczyła się już kilkanaście minut. Mężczyzna siedzący naprzeciw Górskiego wciąż jednak udawał naiwnego. Na stawiane pytania usiłował odpowiadać pytaniami. Mówił swobodnie, pewnym, trochę niedbałym głosem, ale mimo to kapitan dostrzegał w jego zachowaniu podenerwowanie i niepokój. „Do naiwnych ludzi nie należy ten człowiek, dobrze kontroluje swe odpowiedzi” - ocenił rozmówcę kapitan.

Twierdzi więc pan nadal, że nie zna pan żadnego Bojarskiego ani z Łodzi, ani innego? - powtórzył pytanie.

- Tak jest, panie kapitanie, nie znam nikogo o takim nazwisku - odparł zdecydowanie zapytany.

- Panie Namirski - kapitan pochylił się zza biurka w stronę niewysokiego, krzepkiego mężczyzny o nadmiernej tuszy - uprzedzałem pana, że sprawa jest poważna, o wiele bardziej poważna niż pan przypuszcza i bynajmniej nie przypadkowo pytam pana o Bojarskiego.

- Możliwe, że sprawa jest poważna, ale ja nie mogę przecież przyznać się do znajomości z takim panem, skoro w życiu się z nim nie zetknąłem, ani też nie słyszałem o nim - odpowiedział Namirski pewnym głosem.

Kapitan uśmiechnął się i pokiwał głową.

- Zgadzam się z panem, że mógł go pan nie znać osobiście, ale to nazwisko nie jest panu obce. Czy tak? - ponowił pytanie Górski.

Namirski przecząco pokręcił głową.

- A w ogóle - zaczął mówić podniesionym tonem - to dlaczego pan kapitan się uparł, że ja muszę znać jakiegoś Bojarskiego? I co milicję może obchodzić, że brałem zwolnienie z pracy i gdzie byłem osiemnastego? Przepięstwa żadnego nie popełniłem, więc się nie muszę tłumaczyć.

Kapitan skinął głową:

- Rozumiem pana. Chciałbym jednak, aby pan również mnie rozumiał. A ja mam do rozwiązania zagadkę, kto w nocy osiemnastego lipca zabił Bojarskiego? - Po tym pytaniu kapitana grubas posiniał i zbladł. W oczach jego widać było gniew i zarazem strach.

- Ja miałbym go zabić? Ja? - zaczął po chwili wykrzykiwać Namirski, usiłując śmiać się przy tym, co wypadło nienaturalnie i fałszywie.

- Tak, pan - odparł z naciskiem Górski przypatrując mu się nadal badawczo. Obaj wiemy, że są powody, dla których właśnie pan mógłby zabić.

Namirski słysząc to skurczył się i gdyby mógł schowałby się pod ziemię, żeby uniknąć wzroku kapitana.

- Przysięgam, panie kapitanie, że ja tego naprawdę nie zrobiłem, naprawdę nie. Nienawidzę tego człowieka, ale zabić - nigdy.

- Przysięgał pan będzie w sądzie. Mnie wystarczą pańskie odpowiedzi. Skoro więc nie zaprzecza pan, że nazwisko Bojarski nie jest panu obce, spróbujmy ustalić pewne fakty.

- Opowiem wszystko, niczego nie zataję - przerwał pośpiesznie Namirski kapitanowi.

- Proszę więc wyjaśnić, w jakim celu zataił pan fakt wyjazdu do Międzyzdrojów?.

Namirski westchnął głęboko.

- To jest dłuższa historia. - Chciałbym więc zacząć od początku. Czy mogę?

- Proszę, słucham.

- Przed kilkoma tygodniami - zaczął Namirski - otrzymałem na adres sklepowy anonim, w którym „życzliwy przyjaciel”, bo tak podpisany był list, zawiadamiał mnie, że moja żona flirtuje z Bojarskim. W liście była informacja, gdzie on mieszka, czym się zajmuje i że jest w ogóle znany z uwodzenia kobiet. Początkowo na ten anonim nie zwróciłem uwagi, bo mojej żony nie podejrzewałem o flirty. Z pracy zawsze wracała do domu i zajmowała się dziećmi i gospodarstwem. Jeśli ją pan kapitan widział, to musi pan przyznać, że ładniejszej w całych Pabianicach nie ma - Namirski uśmiechnął się z dumą. - Byłem przyzwyczajony do różnych docinków kolegów w rodzaju: „uważaj, grubasie, bo ci żona rogi przyprawi”. Ja wtedy...

- Rozumiem - przerwał kapitan - wróćmy jednak do anonimu o Bojarskim.

- Tak jest, ja lubię zbyt długo mówić, wiem o tym - rzekł Namirski poprawiając się na krześle. - Nie zwróciłbym więc uwagi na ten anonim, gdyby żona nie zaczęła wtedy rzeczywiście wyjeżdżać zbyt często do Łodzi i wracać późno. Dawniej bywało, że zostawała tam czasem dłużej, gdy jeździła służbowo, bo ma w Łodzi przyjaciółkę, ale zdarzało się to rzadko. Kiedy powiedziała, że chce sama wyjechać na urlop, zmartwiłem się, nie śmiałem jej jednak odmówić. Wie pan, ona zaraz zaczyna się denerwować i staje się nieprzystępna. Usiłowałem wmówić w siebie, że te spotkania z koleżanką to w rzeczywistości chodzenie po sklepach i wstępowanie później na kawę. Wiem, że żona lubi wielkomięjski gwar, czego jej w Pabianicach brakuje. Kiedy jednak dostałem drugi anonim, w którym znowu mnie informowano, że wyjechała do Międzyzdrojów z Bojarskim nie wytrzymałem.

- Czy ma pan te anonimy? - spytał kapitan.

- Tak. Noszę je przy sobie te przekłete listy. Proszę - wyjął z kieszeni dwie koperty adresowane maszynowym pismem.

Kapitan wziął je do ręki; znajdujące się wewnątrz kopert listy napisane były także na maszynie. Przebiegł szybko wzrokiem treść. Zgadzała się z tym, co mówił Bojarski. Obydwa listy nosiły podpis: - Życzliwy przyjaciel.

- Proszę, niech pan mówi dalej - Górski spojrzał zachęcająco na Namirskiego.

- Na czym to ja skończyłem? - zastanowił się Namirski.

- Jak pan nie wytrzymał, kiedy nadszedł drugi anonim - podpowiedział kapitan.

- Tak, na swoje nieszczęście nie panowałem nad sobą. - Grubas zamyślił się i zamilkł.

- To znaczy? - przerwał po chwili milczenia kapitan.

- To znaczy, że pojechałem do Międzyzdrojów. Przyjechałem tam wieczorem. Samochód zostawiłem na parkingu. W portierni domu wczasowego „Jutrzenka”, w którym mieszkała żona, powiedziano mi, że nie ma jej w domu. Na pytanie, gdzie może być, portierka spytała, kim dla niej jestem. Skłamałem, że bratem. Ona wtedy roześmiała się i mówi: „mężowi bym nie powiedziała. Gdzie może być? Panie, masz pan ładną siostrę. A wszystkie ładne siostry zapraszane są tu do najlepszego lokalu. Idź pan do «Kolorowej» - trzymam zakład, że tam ją pan znajdzie”.

Słowa te prawie ścięły mnie z nóg. Nic jednak nie powiedziałem. Poszedłem do „Kolorowej”.

Wszystkie miejsca były zajęte i nie wpuszczali do środka. Obszedłem więc budynek dookoła i zobaczyłem, że od strony oszklonego tarasu są schody. Wszedłem po nich i zajrzałem do środka. Wtedy wśród tańczących na parkiecie dojrzałem Barbarę wtuloną w

ramiona wysokiego mężczyzny. Była uśmiechnięta. On też, widać było, że jest zadowolony - Namirski opuścił głowę w dół i zamilkł.

- I co dalej? - spytał po chwili cichym głosem kapitan.

- Zrobiło mi się słabo. Nogi się pode mną ugięły, bezmyślnie usiadłem na stopniu schodów.

- Żona pana widziała?

- Nie, chyba nie. Chociaż tego nie jestem pewien. W jakimś momencie wydawało mi się, że się zmieniła na twarzy, ale tak opadłem z sił, że dalej nie patrzyłem.

- Rozumiem - kapitan skinął głową. - Co zrobił pan następnie?

- Odszedłem spod restauracji i usiadłem na stojącej opodal ławce. Jadąc do Międzyzdrojów myślałem, że jeżeli zastane ją w sytuacji niedwuznacznej, to zrobię porządek.

- I zrobił pan - wtrącił z naciskiem kapitan.

- Właśnie, że nie - westchnął Namirski. - Gdybym to zrobił, nie musiałbym się teraz tłumaczyć. A wtedy zacząłem się zastanawiać, co ja jej mogę zarzucić. Czy to, że poszła na tańce? Bałem się, że ją tym urażę i ona powie, że jeżeli jej tańczyć zabraniam, to możemy, wziąć rozwód. Co miałbym wtedy do gadania? - grubas spojrzał żałośnie na kapitana.

„Zgrywa się albo rzeczywiście taki biedny”. - Kapitan dopuszczał jedną i drugą możliwość.

- Proszę mówić dalej. Co pan wtedy zrobił? - odezwał się głośno.

Postanowiłem odjechać.

- To ciekawe zauważył kapitan.

- Tak - westchnął Namirski, bałem się, że mogę narobić jakichś głupstw i odjechałem.

- Taka jest pańska wersja wydarzeń tego wieczoru. Niestety jest ona nieprawdziwa - rzekł z naciskiem Górski.

- Nie znam innej - odparł ponuro Namirski.

- Moim obowiązkiem jest zatem przypomnieć panu wszystko po kolei.

Grubas wzruszył ramionami:

- Nie mogło być inaczej - powtórzył.

- Otóż, proszę posłuchać - zniżył nieco głos kapitan. Zaczekał pan, aż żona z Bojarskim wyszli z lokalu i szedł pan za nimi w takiej odległości, żeby pana nie zauważyli. Kiedy żona weszła sama do domu wczasowego, pan wsiadł do samochodu i podjechał pod willę „Bogdanka”. Nie wiem, czy pan już wcześniej rozmawiał z Bojarskim i czy znaliście się obaj. To nie jest zresztą w tej chwili najważniejsze. Nie wiem też, jakich argumentów pan użył, że Bojarski wsiadł do samochodu. Jedno jest pewne: zabrał pan Bojarskiego do samochodu i

wyjechał z nim poza osiedle. I tam silnym uderzeniem w głowę, prawdopodobnie kamieniem, pozbawił go pan życia i wyrzucił z auta. Możliwe też, że wysiadł pan z nim razem i dopiero wtedy, na opustoszałej późną nocą drodze.

- To nieprawda ryknął grubas.

- Proszę ciszej - kapitan spojrzał karcącym wzrokiem na Namirskiego.

- To nieprawda, nieprawda - szlochał żałośnie grubas, nie zważając na upomnienia kapitana.

- Nigdy mi nie udowodnicie tego, bo ja nikogo nie zabiłem.

- A jeżeli jest świadek, który widział, jak Bojarski wsiadał do pana samochodu w Międzyzdrojach?

- Nie może być takiego świadka - sapnął - grubas.

- To już będzie zależało od sądu, komu uwierzy - zauważył kapitan. - A co do innych dowodów, to jeszcze poczekamy. Daliśmy ogłoszenie do prasy na Wybrzeżu, możliwe, że zgłoszą się inni świadkowie.

- Tylko nieprawdziwi.

- Panie Namirski, dzisiaj usiłował pan zaprzeczyć, że był pan w ogóle w Międzyzdrojach, opowiadając o odwiedzinach kolegi w Kielcach. Udowodniliśmy panu, że tak nie było i musiał pan przyznać nam rację. Może tak będzie nadal?

- O Boże, Boże - szlochał Namirski - co ja zrobiłem.

Kapitan spojrzał na spazmującego mężczyznę, nie lubił takich sytuacji. Nacisnął szybko dzwonek. Wszedł milicjant.

- Proszę odprowadzić - wskazał ręką Namirskiego - do aresztu.

- A więc towarzysz kapitan wraca do Międzyzdrojów i kończy urlop. Czy tak? - młody sierżant przydzielony przez miejscową komendę MO do pomocy Górskiemu podniósł się z krzesła i stanął naprzeciw zamyślonemu kapitanowi, który po wyprowadzeniu Namirskiego nie ruszył się z miejsca.

- Dlaczego tak kolega sądzi? - spytał kapitan spoglądając z zaciekawieniem na młodego podoficera.

- No, bo - sierżant był trochę speszony tym pytaniem - sprawa się już wyjaśniła, mamy sprawcę zabójstwa.

- Jesteście pewni, że Namirski zabił Bojarskiego?

- Gdyby był czysty, to nie kręciłby z tym wyjazdem. Przyznałby się przecież od razu, że był w Międzyzdrojach, aby sprawdzić, jak prowadzi się żona - skonstatował pewnie sierżant.

- Jakich tu potrzeba dodatkowych dowodów wobec ustalonych faktów? Kto zabił, jeżeli nie

on? - spojrzał pytająco i trochę ze zdziwieniem na Górskiego.

- Spiesz się powoli, jak mówi przysłowie - uśmiechnął się ledwo dostrzegalnie kapitan. - Rozpatrzmy wszystko po kolei. Zbieg okoliczności nie jest rzeczywiście najszcześniejszy dla Namirskiego, ale sam fakt pobytu w Międzyzdrojach o niczym jeszcze nie świadczy. Chodzi o dodatkowe dowody jego winy. A tych dowodów jeszcze nie mamy.

- To może zbyt pochopnie go zamknęliśmy? - zmartwił się sierżant.

- Możliwe, zobaczymy później powiedział kapitan. - Ale na razie jest to konieczne i uzasadnione. Pamiętajcie, że Namirski jest człowiekiem interesu w pełnym tego słowa znaczeniu, ma swoje lata, jeśli chce, umie się opanować. Na przykład kiedy zobaczył żonę na parkiecie w objęciach Bojarskiego, potrafił utrzymać nerwy na wodzy i namyślić się, co postanowić.

- Ale nic nie postanowił - wtrącił sierżant.

- Nic w danej chwili. A później? Na ten temat znamy tylko jego oświadczenie.

- A więc co dalej? Czego szukać? - przejął się swoją rolą sierżant.

- Właśnie. Co dalej? Po pierwsze trzeba szybko dokonać szczegółowych oględzin wozu i odzieży Namirskiego. Być może znajdują się tam jakieś ślady krwi czy inne ślady lub przedmioty mogące mieć istotne znaczenie dla sprawy. Druga ważna rzecz to rozmowa z wczasowiczem, który widział Bojarskiego wsiadającego w nocy do samochodu, jego zeznania mogą rozstrzygnąć wątpliwości co do winy Namirskiego.

- Czy ten, jak mu tam - kapitan spojrzał do notesu - Zalewski jest już w domu?

- Dzwonił do swej rodziny jeszcze z Poznania. Zatrzymał się tam u znajomych, wraca dziś wieczorem. Zostawiłem mu wezwanie na godzinę dziewiątą jutro rano.

- Bardzo dobrze. Będę z nim rozmawiał osobiście.

- A waszym zdaniem - zwrócił się do sierżanta. - kto mógł pisać te anonimy? - wskazał na leżące na biurku dwie kartki papieru.

- Pewne jest, że ktoś, kto chciał dokuczyć Namirskiemu lub zrobić na złość Bojarskiemu bądź żonie Namirskiego.

- Salomonowa odpowiedź. Ale my musimy odpowiedzieć konkretnie: kto?

Kapitan zastanawiał się przez chwilę, każde z tych przypuszczeń mogło być słuszne.

- A jeśli nie tylko o to chodziło? - spojrzał na sierżanta.

Ten, widać było, nie mógł zrozumieć wątpliwości kapitana.

- Bo widzicie - Górski zaczął myśleć głośno - jeżeli ktoś sprytny chciał zabić Bojarskiego, to przede wszystkim musiał pomyśleć o tym, jak odwrócić uwagę od swojej osoby.

- I uwikłać w zabójstwo Namirskiego - uzupełnił podoficer.

- Otóż to - zgodził się kapitan. I dlatego musimy wiedzieć też jak najwięcej o życiu Bojarskiego. Zarówno o jego sprawach związanych z warsztatem, rodziną, jak i o samych miłośkach. A tych miał on dość dużo.

- Ach, tak - westchnął z odcieniem zazdrości młody podoficer, wywołując uśmiech na twarzy kapitana.

VII

- Mam mówić o tym samochodzie, do którego wsiadł ten gość z „Bogdanki”? - zdziwił się Zalewski, sadowiąc się wygodnie w krześle naprzeciwko kapitana. Sapał przy tym ocierając spoconą, nabrzmiałą i zaczerwienioną ze zmęczenia twarz. Doskwierał mu upał.

- Przecież to, co widziałem, opowiedziałem już milicjantowi w Międzyzdrojach. I nic więcej nie mam do powiedzenia. Czego panowie ode mnie chcecie?

- Prosiłbym o dokładne powtórzenie jeszcze raz tego, co pan widział. Jak panu wiadomo, pański współmieszkaniec z pensjonatu został znaleziony nieżywy i naszym obowiązkiem jest wykrycie sprawców morderstwa. Czy to nie są dostateczne powody, żeby jeszcze raz pana niepokoić? Nie muszę panu chyba tłumaczyć, że pana spostrzeżenia mogą być bardzo pomocne do ustalenia i uściślenia pewnych faktów - wyjaśnił kapitan Górski.

- Ja rozumiem to doskonale - łagodniej już odpowiedział Zalewski. - Ale moja kobieta zdążyła już mnie zrugać. Ledwie przyjechałem, a ona do mnie: „coś ty tam narozrabiał, gagatku, że tu czeka milicja na ciebie?”

- Jeżeli pan sobie życzy, to wytłumaczmy pana przed żoną. - Możemy nawet dać usprawiedliwienie na piśmie - zaproponował kapitan.

- Tak źle to u mnie w domu jeszcze nie jest - odrzekł Zalewski pewnym głosem. - Ale czy ja naprawdę wyglądam na takiego fajtlapę, który się boi żony?

- To był żart - odpowiedział z uśmiechem kapitan. - Wracając jednak do tematu, proszę powiedzieć, w jakiej odległości był pan od willi, kiedy dostrzegł pan samochód oraz stojącego na chodniku Bojarskiego?

- Czy ja wiem? - Zalewski potarł brodę opaloną ręką ozdobioną dużym złotym sygnetem - mogło być pięćdziesiąt, może siedemdziesiąt metrów.

- Czy pan słyszał głos Bojarskiego bądź osoby z samochodu?

- Nie. Tylko z gestykulacji Bojarskiego widać było, że rozmawiają z ozywieniem.

- Mogło to wyglądać na sprzeczkę?

- Chyba nie.

- Jest pan tego pewien?

- Panie kapitanie, byłem po spotkaniu towarzyskim, wypłem też kieliszek i myślałem o swoich sprawach. Nie mogę więc być w stu procentach pewnym tego, co widziałem. Wydaje mi się jednak, że rozmowa ta nie była kłótnią. Noc była spokojna, cicha, nie widziałem innych osób na ulicy; gdyby się kłócili, to musieliby mówić głośniej.

- Niekoniecznie - zauważył kapitan. - Chodzi mi jednak głównie o te szczegóły, których nie jest pan pewien - wyjaśnił. - A kiedy Bojarski wsiadł do samochodu i odjechał, w jakiej odległości był pan od pojazdu? - kapitan zadał nowe pytanie.

- Chyba dwadzieścia do trzydziestu metrów.

- Zeznał pan, że samochód miał rejestrację łódzką? Jest pan tego pewien?

- Panie kapitanie, ja mam zwyczaj patrzeć przede wszystkim na tablice rejestracyjne samochodów i tu pomyłki być nie może - Zalewski był pewien swej odpowiedzi.

- A czym się tłumaczy ten oryginalny zwyczaj?

- Widzi pan - Zalewski odpowiedział z zadowoleniem, że może pochwalić się - ja od wielu lat pracuję w hurtowni. Przyjeżdżają do nas samochody z całego kraju. Sam pan rozumie, że dobrze jest jeszcze przed rozmową z klientem wiedzieć, skąd przyjechał. To jasne, nie?

- Zupełnie - potwierdził kapitan. - A kierowca samochodu? Jak on wyglądał? Czy pan może podać jakiś jego rysopis?

- Z trudnością. O ile dobrze pamiętam, to nosił jakąś kolorową koszulę czy bluzkę.

- Był to młody czy starszy człowiek?

- Raczej młody, miał chyba jasne włosy.

- Czy gdyby pan zobaczył jego twarz, poznałby go pan?

- Może tak - Zalewski nie był pewien.

Kapitan wyjął z biurka kopertę ze zdjęciami. Jedno z nich podał Zalewskiemu.

- Proszę się przyjrzeć, czy to ten człowiek?

- Przecież to Namirski - zawołał Zalewski ledwie spojrzawszy na fotografię.

- Kto? - nie dosłyszał kapitan.

- Namirski, z Pabianic - dodał. I on miałby wywieźć Bojarskiego i zabić? - zdziwił się Zalewski.

- Czy Namirski znajdował się za kierownicą samochodu? - kapitan pominął milczeniem

pytanie Zalewskiego.

- Pan żartuje, panie kapitanie. Przecież Zbyszka poznałbym natychmiast.

- Tak dobrze go pan zna?

- Oczywiście. Przez, dziesięć lat, zanim odszedł z branży tekstylnej, przyjeżdżał do hurtowni. Nie jedną wódkę razem wypiliśmy.

- Czy pan zna też żonę Namirskiego?

- Nie. Wiem tylko, że to ładna kobieta.

- A kiedy widział pan Namirskiego ostatni raz?

- Do branży spożywczej przeszedł bodaj przed rokiem. Od tej pory kontakty się urwały. Nie było interesów. A ostatni raz widziałem się z nim przelotnie na ulicy, chyba jakieś trzy miesiące temu. Za przeproszeniem pana kapitana, w głowie mi się nie mieści, żeby Namirski mógł w ogóle kogoś skrzywdzić, a już zabić - to na pewno nie. Jak więc to się stało, że on może być podejrzany o zabójstwo?

- Tego panu nie powiedziałem - odparł wymijająco kapitan.

VIII

Siostra Bojarskiego była osobą w starszym wieku. Wysoka, z włosami przyprószonymi siwizną, ubrana raczej skromnie, lecz starannie, sprawiała wrażenie dystygowanej pani. Wiadomość o śmierci brata wywołała u niej szok. Po kilkunastu jednak minutach kobieta zapanowała nad sobą i tak się uspokoiła, że Górski mógł przystąpić do rozmowy.

- Proszę pani - zaczął kapitan - jest pani jedyną siostrą zamordowanego i zarazem najbliższą krewną. Chciałbym zatem, żeby pani uświadomiła sobie, że od jej pomocy i podzielenia się z nami wszystkimi obawami i wątpliwościami, jak też od informacji na temat życia brata, uzależnione może być szybsze znalezienie zabójcy. Naszym zdaniem nie było to bowiem zwykłe, przypadkowe morderstwo rabunkowe, choć zabójca zabrał prawdopodobnie rodzinny sygnet, który nosił pan Bojarski.

- Opowiem panu wszystko, co wiem, niczego nie zataję, aby tylko milicja znalazła tego bandytę i żeby wymierzono mu należną karę - mówiła przez łzy.

- Czy pani była zżyta z bratem, czy brat zwierzał się pani ze swych trosk, kłopotów?

- Oczywiście że tak. Od czasu kiedy zmarł podczas okupacji nasz ojciec, a w dziesięć lat później matka, pozostaliśmy we dwoje. Ja wówczas rozpoczęłam pracę, a on jeszcze kończył

szkołę średnią. Zrozumiałe więc, że zżyłam się z bratem. Zawsze sobie opowiadaliśmy o wszystkich zmartwieniach, problemach - kobieta zaniosła się płaczem.

Górski odczekał chwilę.

- Ale jak się okazuje, bratu się później dobrze ułożyło? - zapytał.

- Tak. Skończył technikum samochodowe i dostał pracę w prywatnym warsztacie. Właściciel warsztatu, późniejszy jego teść, wyswatał go ze swoją córką - jedynaczką. Był on wdowcem i kiedy zmarł, dobrze prosperujący warsztat stał się własnością Władka...

- Proszę mi w takim razie wyjaśnić - przerwał rozmówczyni kapitan, czy pani bratowa nie ma praw majątkowych do warsztatu. Zdaje mi się, że pozostała ona za granicą.

- Pan już to wie? - zdziwiła się z bolesnym uśmiechem.

- Nie. Nie bardzo i chciałbym, żeby mi pani o żonie pana Bojarskiego też opowiedziała.

- A bo widzi pan - zaczęła mówić opanowanym już bardziej głosem - teść Władka wziął go za współnika jeszcze przed ślubem z córką. W ten sposób Władek stał się najpierw współwłaścicielem, a dopiero później członkiem rodziny. Żona natomiast, kiedy pozostała za granicą, zrzekła się wszelkich praw do należnej jej części majątku. Chciała jedynie jak najszybciej otrzymać rozwód.

- A co było przyczyną pozostania bratowej za granicą? Jak mi mówiono, była ona podobno piękną kobietą i oboje z mężem bardzo się kochali?

- Tak. To prawda. Irena była rzeczywiście śliczną dziewczyną zakochaną w mężu, ale ona nie mogła się pogodzić z myślą, że nigdy z Władkiem nie będzie mieć dzieci. Od tego zaczął się rozdzwięk w małżeństwie. Rok przed wyjazdem poznała tu w Polsce Francuza, który spędzał wakacje w naszym kraju i już wtedy Władek zorientował się, że coś nie jest w porządku. Później zaczęła doskonalić swą znajomość języka francuskiego. Kiedy wyjeżdżała do Francji, postanowiła pozostać tam dwa miesiące. Władek przypuszczał, że to może być koniec jego małżeństwa, ale nie protestował. Był na to zbyt ambitny. Starał się ją zrozumieć, gdyż wiedział, że z nim nigdy nie będzie mogła mieć dziecka, czego tak bardzo zawsze pragnęła. Kiedy Irena zawiadomiła go, że nie wraca i że się spodziewa dziecka, zgodził się od razu na rozwód. Nie chciał natomiast przyjąć jej rezygnacji z majątku po ojcu, ale ona napisała, że nie ma komu przekazać majątku w Polsce, a jej ukochany jest człowiekiem zamożnym i te pieniądze z kraju nie mają dla nich większego znaczenia. I w ten sposób Władek stał się człowiekiem bogatym.

- Jak to bogatym? - nie rozumiał kapitan.

- A bo, widzi pan, warsztat, dom i ogród szacowane są na kilka milionów złotych. Poza tym warsztat ma swoją dobrą i stałą klientelę, tak że dochody z niego przynoszą poważne

sumy.

- Czy brat mając tak dużo pieniędzy pomagał pani? - kapitan rozejrzał się dyskretnie po pokoju.

Dostrzegła jego wzrok skierowany na drogie meble.

- Pomagał mi o tyle, o ile to było konieczne. Ja mam sporą rentę inwalidzką, mąż jest inżynierem, nieźle zarabia. To nam wystarcza. Mamy jedyne syna, który jest studentem. Nie chciałam więc przyjmować pomocy od brata, poza oczywiście drobnymi prezentami czy też pożyczką na większe mieszkanie spółdzielcze. Jedyne duży wydatek, który brat dla nas poniósł, to samochód dany w prezencie mojemu synowi, kiedy ten zdał maturę. Władek szczególnie lubił mojego Zbyszka i ja musiałam patrzeć przez palce, gdy dawał mu pieniądze na benzynę i drobne wydatki. Prosiłam jedynie brata, aby go nie rozbałamucił dużymi sumami pieniędzy. Teraz chyba przez dobre serce i hojność wuja chłopak musi zdawać poprawkę. Dlatego siedzi tu na miejscu, a nie jest na wakacjach.

- A więc jedyną spadkobierczynią praw majątkowych po bracie będzie pani?

- O Boże, ja nie chcę żadnego majątku, byle on żył.

- Rozumiem. Wracając jednak do pani brata, jak on się zachowywał, kiedy go żona porzuciła?

- Początkowo popijał, ale szybko mu to minęło. Powiedział, że nigdy się już nie ożeni, ale od kobiet nie stronił. Miał sporo różnych miłostek.

- Zdaje się, że pan Bojarski flirtował także z mężatkami?

- Na nieszczęście tak. Zawsze mu mówiłam, że może sobie napytać biedy. Ale on się tylko śmiał i mówił, że żadnemu mężowi żony nie zabierze.

- A ostatni jego romans? Z mężatką z Pabianic. Czy wiedziała pani coś o tym?

- Tak. Wspominał mi kiedyś o tym. Władek lubił wpadać do mnie przed południem, kiedy jestem sama w domu. by porozmawiać o różnych sprawach. Mówił, że tym razem naprawdę się chyba zakochał i to w mężatce. Z moich przestroóg śmiał się i mówił, żebym się nie bała. Kilka dni później wyjechał nad morze.

- Proszę pani, czy brat opowiadał kiedyś o jakichś swoich wrogach, nieprzyjaciołach? Czy może czegoś się bał?

- Nigdy o niczym takim nie wspominał. Żadnych wrogów nie miał, chętnie ludziom pomagał. Niektórzy zazdrościli, że mu się lepiej powodzi.

- A więc zdaniem pani nie było osób, które mogłyby nastawać na życie pana Bojarskiego?

- Chyba nie. Ja w każdym razie nie mogę sobie niczego takiego przypomnieć.

- Proszę mi jeszcze opisać sygnet, który nosił pani brat.

- To była jedyna kosztowna pamiątka rodzinna. Sygnet należał do naszego dziadka. Miał inicjały JB, był z dukatowego złota, pięknie grawerowany. Mogę panu dać zdjęcie mojego brata, na którym widoczna jest ręka z tym pierścieniem - mówiąc to sięgnęła do albumu.

Podążyła Górkowskiemu fotografię, która przedstawiała Bojarskiego siedzącego na kozetce. Lewą rękę z widocznym sygnetem trzymał opartą na poręczy.

- Czy mogę pożyczyć to zdjęcie?

- Proszę bardzo, tylko proszę o zwrot, gdy już nie będzie potrzebne.

W parę minut później, po pożegnaniu siostry Bojarskiego, kapitan spotkał na klatce schodowej wchodzącego na górę młodego, przystojnego człowieka. Przeskakiwał po kilka stopni, pogwizdując z wesołą miną.

„Skąd ja go znam?” - zastanawiał się Górkowski przez chwilę. Odwrócił się i spojrzał w górę za wbiegającym chłopakiem. Zobaczył, że zadzwonił do mieszkania, z którego właśnie kapitan wyszedł. Górkowskiemu rozjaśniła się twarz, już wiedział kto to jest. „Bardzo podobny do swojego wuja” - pomyślał wychodząc na ulicę.

Przed domem stał samochód marki Fiat, utrzymany w dobrym stanie. Za szybą wisiała maskotka z masy plastycznej: chłopiec w niebieskiej czapeczce z daszkiem, w krótkich spodenkach.

- Gdzieś już widziałem taką zabawkę - mruknął kapitan i wrócił myślami do swoich spraw.

IX

Kapitan Górkowski odstawił pustą szklanekę po kawie, usadowił się wygodnie w fotelu, wyjął papierosa, zapalił i powoli zaciągnął się.

Sytuacja w prowadzonej przez niego sprawie ustalenia zabójcy Bojarskiego nie była jasna. Okoliczności, na podstawie których uzyskał decyzję aresztowania Namirskiego były w dalszym ciągu mało przekonujące i w aktualnej wersji z zakwestionowaniem ich w sądzie żaden adwokat nie miałby trudności, z czego kapitan zdawał sobie doskonale sprawę. Fakt, że Namirski był w Międzyzdrojach, do czego się początkowo nie przyznawał, był dowodem niewystarczającym, a innych nie przybywało.

W szczerść zeznań Namirskiego kapitan nie wierzył. Nie był to bynajmniej dobrotliwy,

otyły kupiec, na jakiego wyglądał i za jakiego chciał uchodzić. Okazało się bowiem, że w swej przeszłości brał udział w zamordowaniu młodej kobiety, poprzedzonym rabunkiem biżuterii i zbiorowym gwałtem. Działo się to jeszcze w latach pięćdziesiątych.

Jako najmłodszy uczestnik pięcioosobowej szajki otrzymał wtedy najniższą karę i po kilku latach, w wyniku amnestii, znalazł się na wolności. Przyjechał wówczas z Zielonogórskiego do Łodzi, gdzie podjął pracę i wkrótce się ożenił. Z rodziną zamieszkałą w Zielonej Górze nie utrzymywał żadnych kontaktów, by w ten sposób zatrzeć ślady za sobą, żeby nikt w nowym środowisku nie mógł dowiedzieć się o jego przeszłości. Od tej pory pracował w handlu. W pracy tej musiało mu się wieść nie najgorzej, gdyż dorobił się znacznych pieniędzy. Aktualnie był właścicielem ładnie urządzonego domu, dwóch placów budowlanych, miał samochód.

Interesy, jakie prowadził, nie zawsze były najczystsze, nazwisko jego wielokrotnie przewijało się w notatkach milicyjnych przy okazji różnych nadużyć w handlu, ale nigdy nie znalazł się w wyraźnej kolizji z prawem, a ściślej mówiąc nie udowodniono mu tego.

Wszystko to niewątpliwie określało wyraźniej sylwetkę Namirskiego jako człowieka bez skrupułów, lecz nie mogło stanowić podstawy do oskarżenia go o morderstwo. Jedyne jak dotąd świadek, który mógł stwierdzić ewentualnie, że widział Namirskiego w Międzyzdrojach w towarzystwie Bojarskiego, wykluczył zupełnie tę możliwość. Szczerości tych zeznań kapitan był raczej pewien. Tym bardziej że z ustaleń operacyjnych wynikało, że Namirski i Zalewski znali się rzeczywiście w okresie, kiedy pracowali w jednej branży i że znajomość ta miała tylko charakter handlowy, a nie towarzyski czy przyjacielski. Urwała się zresztą, kiedy Namirski zmienił pracę. Stąd trudno było przypuszczać i podejrzewać, że Zalewski z góry ukartował zeznanie na korzyść Namirskiego.

Innych świadków do tej pory nie było, a przeprowadzone przeszukanie samochodu i mieszkania Namirskiego też nie dało żadnych wyników. Zresztą kapitan nie łudził się, by mogło przynieść efekty. Namirski, jeżeli to on skorzystał z okazji i po zemście pokusił się o złoty sygnet, był na tyle przebiegły i ostrożny, żeby go dobrze ukryć. Niemniej Górski przekazał wszystkim jednostkom milicyjnym w kraju dyspozycje w sprawie poszukiwania u jubilerów sygnetu Bojarskiego, podając jego dokładny opis i fotokopię fotografii otrzymanej od siostry zmarłego. Odnalezienie sygnetu mogło mieć kapitalne znaczenie dla sprawy.

Pozostały jeszcze anonimy. Autor ich chciał prawdopodobnie dokuczyć Namirskiemu, czy też narobić kłopotów Bojarskiemu. A może miał też inne cele? Może był zainteresowany, by doszło do konfliktu między tymi mężczyznami? Jeśli tak, to kto to był? Komu mogło na tym zależeć?

Kapitan zaczął wylizywać w myślach:

„Mężowi siostry Bojarskiego, aby rodzina weszła w posiadanie majątku? Ten starszy, schorowany pan nie potrzebował pieniędzy, na utrzymanie rodziny wystarczały mu własne zasoby, a poza tym żona zawsze mogła zwrócić się o finansowe wsparcie do brata, którego Bojarski by nie odmówił, tym bardziej że zawsze je sam ofiarowywał.

Siostrzeniec? Dostał samochód, wuj był wobec niego hojny...

Może więc któryś z pracowników?

Albo jakiś zazdrosny mężczyzna? Jak do tej pory poszukiwania i sprawdzania w tym kierunku także nie dały konkretnego rezultatu"...

X

Rozmowa z siostrą Bojarskiego oraz przeprowadzony wywiad o jej mężu rozwiały podejrzenia kapitana, ale zrodziły się znowu, kiedy przyjrzał się okazałej spuściźnie po Bojarskim.

Posesja Bojarskiego składająca się z jednopiętrowego domu willowego, dużego ogrodu z krzewami owocowymi oraz warsztatu z parkingiem prezentowała się okazale. Już na pierwszy rzut oka widać było zamożność jej właściciela. Budynki były w dobrym stanie, nowoczesne, ogród wypielęgnowany. Wszystko utrzymane w idealnym porządku. Całość ogrodzona była siatką, a część warsztatowa oddzielona ozdobnym murkiem od domu mieszkalnego i ogrodu. Posiadłość położona z dala od ruchliwej ulicy stanowiła spokojne miejsce zarówno do pracy, jak i mieszkania.

Interesu aktualnie doglądał i prowadził go starszy mechanik Kępski, wieloletni zaufany współpracownik Bojarskiego. Górski odbył z nim już dłuższą rozmowę na temat współzycia Bojarskiego z pracownikami i stosunków z klientami. Z rozmowy tej, jak i z przeprowadzonych wywiadów i ustaleń wynikało, że Bojarski zaopatrywał się bez rachunków w części samochodowe pochodzące z różnych źródeł oraz zaniżał obroty nie księgując wszystkich prac. Fakty te, z rozeznania, jakie miał już kapitan, nie miały jednak związku z zabójstwem.

Był wprowadzić w zakładzie jeden mechanik, który miał z Bojarskim dość ostre zatargi i kilkakrotnie odgrażał się pryncypałowi, że go urządzi, gdy ten przyłapał go na wykonywaniu prac na własną rękę i groził zwolnieniem. Chłopak się jednak tym zbytnio nie przejmował,

znając źródło niektórych dostaw do warsztatu.

Kończyło się więc zwykle pojednaniem. Pogrożki te nie dawały podstaw, by Tomaszewskiego, bo tak się nazywał młody mechanik, zaliczyć do osób, które mogły być zainteresowane śmiercią Bojarskiego. Górski nigdy Tomaszewskiego o to nie posądzał. Chodziło mu jednak o sprawdzenie, czy to nie on właśnie był autorem anonimów adresowanych do Namirskiego.

Taki był cel obecnej wizyty Górskiego w warsztacie. Chciał odbyć na ten temat rozmowy i przy okazji, pod pretekstem zrobienia odpisu - jakiegoś rachunku, wziąć próbkę tekstu z maszyny do pisania, którą widział w kantorze, a do którego mieli swobodny dostęp wszyscy pracownicy. Posłużenie się więc maszyną do pisania, jak i wysłuchanie czyjejś rozmowy telefonicznej nie stanowiło dla nich większego problemu.

Kiedy kapitan odbył już rozmowy z pracownikami i kończył pisanie tekstu, do kantoru wpadł młody człowiek i zaczął wołać zwracając się w stronę Kępskiego:

- Co jest z tym wozem? Poleciałem Józkowi, żeby był gotowy na drugą, a on jeszcze się guzdrze. Rozpuścił was tu wuj.

- Chwileczkę, panie Zbyszku - Kępski uśmiechnął się do młodzieńca - nie jego to wina, jeżeli defekt okazał się większy niż można było przypuszczać. Za kilka minut skończy. A poza tym, pamiętaj, chłopcze - Kępski przeszedł na ty - że nie jesteś tu jeszcze właścicielem.

- Ma pan wątpliwości co do tego? - chłopak spojrzał zuchwale na rozmówcę.

- Tak - odparł spokojnie Kępski - bo nie wiadomo jeszcze, co postanowi główna spadkobierczyni, pańska matka, a w tej chwili przeszkadzasz mi też w rozmowie z panem kapitanem.

- Przepraszam - chłopak spokorniał w jednej chwili i spojrzał z szacunkiem na Górskiego.

- Panie kapitanie zaczął pośpiesznie mówić po chwili konsternacji - czy ten zatrzymany przyznał się już do winy? Czy działał on sam? Kiedy będzie proces? - Z wypiekami na twarzy, jednym tchem recytował pytania przyglądając się jednocześnie badawczo Górskiemu.

Ten uśmiechnął się.

- O ile wiem, studiuje pan prawo. Prawnik - musi być opanowany i cierpliwy. A pan chciałby wiedzieć wszystko od razu.

- Pan kapitan wybacz - Zbyszek zaczął się usprawiedliwiać - ale to jest chyba zrozumiale w moim przypadku...

- Oczywiście - zgodził się kapitan. Tylko pan...

Ostry dźwięk dzwonka telefonu przerwał kapitanowi dalsze słowa. Kępski wyciągnął rękę w stronę słuchawki patrząc jednocześnie pytająco na Górskiego.

- Proszę bardzo - odpowiedział.

- Tylko pan - powtórzył kapitan, gdy Kępski skończył rozmowę z jakimś klientem - jako przysły prawnik orientuje się zapewne, że organy ścigania nie zawsze mogą na bieżąco informować o szczegółach dochodzenia nawet osoby z rodziny zamordowanego. Tak jest i w tym przypadku.

- Rozumiem i przepraszam - chłopak zaczerwienił się.

Kapitan wstał, pożegnał się z Kępskim i zapytał, gdzie tu jest najbliższy postój taksówek.

- Chętnie pana odwiozę - zaoferował się Zbyszek.

- To pański wóz już naprawiony? - zdziwił się Górski.

- W naprawie jest samochód znajomego. Mój jest zawsze sprawny - odparł z wyraźną dumą chłopak.

Po chwili jechali już w stronę komendy. Zbyszek prowadził szybko i pewnie. Widać było, że sprawia mu to przyjemność. Milczenie przerwał Górski.

- Oryginalna maskotka - kapitan wskazał na plastikowego chłopczyka umieszczonego przy tylnej szybie samochodu. Chłopiec miał śmieszny czapeczkę i krótkie spodenki.

- A tak - ożywił się Zbyszek. To Kajtek polewacz.

- Jak to polewacz? - zdziwił się kapitan.

Zbyszek roześmiał się. - Proszę wziąć go do ręki i ściągnąć spodenki - zaproponował.

Górski wykonał polecenie. Z zabawki wypłynęła cienka strużka wody.

- Rzeczywiście uzasadniona nazwa. Gdzie pan to kupił? - zainteresował się.

- Gdzie? - Zbyszek zawiesił głos zastanawiając się nad odpowiedzią.

- W którymś kiosku z gazetami - rzekł po chwili. - Chyba przed dworcem - dodał.

Gdy dojechali na miejsce, chłopiec spojrział nieśmiało na kapitana, jakby chciał jeszcze o coś prosić. Ten wyczuł to natychmiast. „Będzie znowu pytał o szczegóły dochodzenia” - pomyślał, ale głośno zachęcił go do mówienia:

- Proszę śmiało, co jeszcze chce pan powiedzieć.

- Jeżeli panu podoba się Kajtek, to proszę go zabrać - zaproponował Zbyszek.

Kapitan spojrział zdziwiony. Zaskoczyła go ta propozycja. Spodziewał się zresztą pytań, a nie podarunku.

- Dobrze - rzekł szybko w odpowiedzi - tylko ja nie mam niczego, co mógłbym dać w zamian.

- To nieważne - zapewnił Zbyszek.

- Dziękuję zatem - kapitan skinął mu głową na pożegnanie, wziął maskotkę i wysiadł z samochodu.

Nie wszedł jednak od razu do gmachu komendy. Dłuższą chwilę stał na chodniku przypatrując się odjeżdżającemu samochodowi, którym przyjechał. Kiedy pojazd zniknął mu z oczu, poszedł w stronę kiosku ruchu znajdującego się po drugiej stronie ulicy. Kupił papierosy, a następnie zaczął oglądać wystawione tuż przy szybach książki i zabawki.

- Za czym pan patrzy? - sprzedawca wychylił się z kiosku w stronę klienta.
- Szukam podobnej zabawki - kapitan wyjął z teczki Kajtka.
- U mnie takiej nigdy nie było - odpowiedział kioskarz.
- Szkoda - mruknął kapitan i poszedł do komendy.

Po przyjeździe do pokoju, który mu przydzielono, Górski wezwał współpracującego z nim sierżanta i pokazał mu zabawkę, którą przed chwilą dostał w prezencie od Zbyszka. Następnie polecił mu pójść do miasta i we wszystkich kioskach ruchu i sklepach z zabawkami pytać o taką samą.

- Jeżeli znajdziecie identyczną, kupić jeden egzemplarz i wracać - dodał nie wyjaśniając nic więcej.

Sierżant był zdumiony, ale nie śmiał pytać kapitana, co ma oznaczać to dziwne polecenie. Takiego jeszcze nie miał, choć pracował w milicji już kilka lat. I to w dodatku w sytuacji, kiedy schwytano już zabójcę.

„Chyba tylko kapitan z Komendy Głównej może sobie pozwolić na takie dziwactwo. Zgrywa się na oryginała" myślał idąc do kolejnego kiosku. „Albo to jego prywatna sprawa. Tylko dlaczego z taką poważną miną mówił, że to jest tak niezmiernie ważne?... A kto go tam wie" - i sierżant chodząc już długi czas po mieście przestał myśleć nad sensem i celowością wykonywanego polecenia.

XI

Po powrocie z trzydniowego pobytu na wsi u stryjenki „Piękna Danka" - tak ją nazywali koledzy - zjawiała się na plaży klubu „Relaks" w humorze co najmniej kiepskim.

Już wczesnym rankiem zdenerwował ją telefon od Reginy, która pod pretekstem umówienia się na plażę nie omieszkała napomknąć, że dostała od ojczyma pięć tysięcy złotych. A więc tyle, ile kosztuje ten zagraniczny dzinsowy komplet, wystawiony w komisie. Obie przed kilkoma dniami długo go oglądały i nawet mierzyły. Na obu, mających prawie ten sam wzrost i figurę, leżał wprost idealnie. Jediną przeszkodą w nabyciu, przed którą stanęła

każda z nich, to skąd wziąć pieniądze na kupno. Ani jedna, ani druga nie widziały realnych możliwości zdobycia potrzebnej im na ten cel gotówki. I tu nagle Reginie udało się dotrzeć do zawsze szczelnie zamkniętej kieszeni ojczyma. To że ona miałaby pierwsza paradować w nowym, efektownym stroju było nie do zniesienia dla Danki. Dziewczyna postanowiła więc zadzwonić do ciotki Zuzanny, siostry matki. Ta jednak nie przejęła się zbytnio zmartwieniem kochanej siostrzenicy.

- Dziewczyno, czy ty nie masz innych problemów niż ten, że nie możesz kupić jakiejś zagranicznej kiecki? - łąła ją ciotka. - Ja też nie mam na zbyciu pięciu tysięcy złotych i nic ci nie pomogę. Tylko pamiętaj, że nie wolno ci nic mówić mamie, bo ta gotowa się zamartwić, że jej córka nie może spełnić swej zachcianki i może jeszcze zrobić głupstwo i wziąć pożyczkę. Pomyśl, jakie to szczęście, że dostałaś się na studia. To ci przede wszystkim powinno wystarczyć, dopóki sama nie zaczniesz pracować. A poza tym, która z twoich koleżanek dorównuje ci urodą? - osłodziła połajankę ciotka.

Dance odechciało się tego dnia iść na plażę, żeby nie być świadkiem triumfu Reginy i nie oglądać jej ciuchów. Wolą położyć się na tapczanie i by zapełnić czas, wzięła pierwszą z brzegu półki książkę. Lekturę jednak przerywały co chwilę jakieś pomyłkowe telefony. W końcu zadzwonił Bogdan, któremu udało się wyciągnąć ją z domu i namówić, żeby poszła z nim na pływalnię.

Pogoda była w tym dniu piękna i kiedy Danka, już w kostiumie, znalazła się na niewielkiej, porośniętej częściowo trawą plaży „Relaks”, minęło już jej poranne rozdrażnienie, tym bardziej że nie było tu jeszcze Reginy. Przybyli już natomiast niemal wszyscy z tegorocznej wakacyjnej paczki, sporo studentów oraz maturzystów, zwłaszcza tych, którzy zdali już egzaminy na wyższe uczelnie. Ci ostatni szczególnie sobie cenili towarzystwo starszych kolegów, imponowali im bowiem znajomością zwyczajów i atmosfery, jakie panują na uczelniach.

Dankę powitali tu wszyscy gromkim i wesołym okrzykiem. Poprawiło jej to znacznie humor. Wśród mężczyzn zauważyła szczupłego, przystojnego szatyna. Zobaczyła go tu po raz pierwszy. Spojrzenie jej podchwyciła Barbara, która natychmiast jej zaproponowała:

- Chodź do wody, ja się też jeszcze nie kąpałam. - Wiesz - mówiła półgłosem, trzymając Dankę pod ramię, kiedy przesuwali się wolno w stronę basenu wśród leżących gęsto plażowiczów. - Ten chłopak, który ci się spodobał, to student z Warszawy. Był tu już wczoraj. Na imię ma Staszek. Mieszka w akademiku, ale nie interesuje się dziewczynami. Od rana grał w karty z tymi studentami z prawa. Złość nas bierze, że nie zwraca na nas uwagi; a może ty spróbujesz Szczęścia?

Danka wzruszyła ramionami:

- Po cóż mi chłopak aż z Warszawy?

- No wiesz - Barbara nie dokończyła, gdyż spotkały Zbyszka, zwanego tu hazardzistą z racji jego upodobań karcianych. Podeszedł on natychmiast do dziewcząt witając je radośnie.

- Patrzcie - zawołał Zdzisiek - Ledwie zobaczył Dankę, od razu poweselał, mimo że jego ukochany wujciunio jeszcze nie w grobie. - Danka - Zdzisiek był widać najwyraźniej podchmielony - złoży hazardziście gratulacje - zrobił pauzę i znacząco zająknął się - to jest, chciałem powiedzieć, kondolencje z tego powodu, że został najbogatszym chłopakiem w Łodzi.

Część osób roześmiała się, ale jedna z dziewcząt zmarszczyła czoło i ostro przywołała go do porządku.

- A bo ja zawsze mówię prawdę i wiem, co mówię - próbował bronić się Zdzisiek.

- Uspokój się, bo dostaniesz w ucho - zgromił go krępy blondyn.

Przez moment zapanowała kłopotliwa cisza. Przerwała ją dopiero Danka, która słyszała już o tragicznej śmierci wuja Zbyszka i choć ją Zbyszek zawsze dziwnie denerwował i nigdy nie reagowała na jego umizgi, uznała, że powinna okazać mu współczucie.

- Serdecznie ci współczuję, Zbyszku - powiedziała całując go jednocześnie w policzek. Był tym wzruszony i w odpowiedzi objął ją lekko ramieniem.

Z koca podniósł się student z Warszawy.

- Moje kondolencje - rzekł potrząsając ręką Zbyszka - gdybym mógł ci w czymś pomóc, licz na mnie. - Za studentem podeszło do Zbyszka jeszcze kilka osób.

Zbyszek w milczeniu przyjmował kondolencje. Twarz jego pozostawała bez wyrazu.

- Dajcie już spokój - zawołał znów Zdzisiek - bo on naprawdę uwierzy, że spotkało go nieszczęście, otrzyma przecież tylko parę milionów złotych. Ja tam - zwrócił się w stronę Zbyszka - zapisuję się na stypę.

- Przestań się wygłupiać - zareagował tym razem sam Zbyszek. - A w ogóle - dodał - to zajmijcie się wszyscy przyjemniejszymi sprawami niż śmierć mego wuja.

Danka pochyliła się w stronę leżącej obok Barbary:

- Czy ten jego wuj był rzeczywiście tak bardzo bogaty?

- Ależ tak - ożywiła się Barbara - miał dobrze prosperujący warsztat samochodowy i duży dom. A ile dochodu przynosi taki warsztat, nie muszę ci mówić.

- Wiesz - dodała po chwili - ty jesteś naprawdę głupia i naiwna dziewczyna - zaczęła mówić przyciszonym, pouczającym tonem. Taki chłopak wdycha do ciebie, a ty nie zwracasz na niego uwagi. Gdybym to ja byłą na twoim miejscu...

W stronę szepczących dziewcząt przysunął się student z Warszawy.

- Założę się zaczął półgłosem - że nie rozmawiacie o mnie...

- Oczywiście - Barbara wydeła pogardliwie usta, przypominając sobie, że przed godziną nie reagował na jej wyraźne umizgi.

- Takie już moje szczęście - westchnął. - Ale czy ten jego wuj był rzeczywiście tak bogaty? - wskazał głową w stronę Zbyszka.

- Czy był bogaty? - powtórzyła pytanie Barbara. - Mógłby kupić nas wszystkich razem z tym śmierdzącym basenem i jeszcze by mu zostało.

- Hm! Wydaje mi się, że w takim razie śmierć wuja nie zmartwiła Zbyszka zbyt? Tak przynajmniej wygląda - spojrzał pytająco na Barbarę.

- Oczywiście - zgodziła się Barbara. - Jego koledzy twierdzą, że wręcz nawet ucieszyła. Złośliwi mówią, że gdyby mógł, to sam chętnie przyczyniłby się wcześniej do wysłania wuja na łono Abrahama. Zwierzył się też Zdziškowi, że kończy ze studiami, a zajmie się warsztatem.

- Spadek odziedziczy jego matka. Nie wiadomo więc, czy mu na to pozwoli? - wyraził obawę Staszek.

- A skąd ty wiesz, że on ma matkę i kto jest spadkobiercą? - A w ogóle, to co ciebie tak zainteresował Zbyszek? - Barbara spojrzała badawczo na Staszka.

Ten wzruszył ramionami i przybrał obojętną minę.

- Zazdroszczę mu po prostu i dlatego pytam. Normalka. Nie?

Barbara skinęła głową na znak zgody.

Danka początkowo przysłuchiwała się rozmowie prowadzonej przez przyjaciółkę ze studentem z Warszawy, ale w pewnym momencie ujrzała Reginę, która właśnie wchodziła na teren pływalni w wymarzonej przez nią komplecie dzinsowym. Oczywiście, nie rozbierała się uprzednio w przebieralni, aby zademonstrować swój nowy strój.

- Cześć - przywitała się podchodząc. - Cieszę się, że jesteście tu wszyscy - spojrzała na Dankę, która właśnie w towarzystwie studenta z Warszawy i Zbyszka szła w stronę bufetu.

- Ponawiam moją propozycję sprzed tygodnia, żeby wybrać się razem do jakiegoś lokalu na kolację - powiedział do Danki Zbyszek. A może też i kolega z Warszawy przyjmie zaproszenie?

- Dobra myśl - odrzekł. - Z tym, że ja zapraszam się w charakterze współgospodarza.

- Nie martw się o to. Nie posprzeczamy się o rachunek - Zbyszek uczynił ręką gest, który miał oznaczać, że rachunek za kolację nie ma dla niego większego znaczenia.

Danka patrzyła zachwycona. „Dlaczego ja wcześniej nie zwróciłam na niego uwagi?”

Zobaczymy, Reginko, jak teraz będzie wyglądało współzawodnictwo w ubieraniu się" - pomyślała.

W bufecie nie siedzieli długo. Zjedli lody i wrócili do towarzystwa. Staszek ujął pod rękę Zbyszka.

- Chciałbym zamienić z tobą kilka słów na osobności - rzekł. - Mam znajomego, który ma warsztat samochodowy pod Warszawą. Chcę ci przedstawić pewną propozycję...

Obaj studenci żywo rozprawiali spacerując wzdłuż basenu. Z gestykulacji widać było, że rozmawiają o czymś, co ich bardzo interesuje.

- A więc do zobaczenia wieczorom w „Kaskadzie" - rzekł Zbyszek do gościa z Warszawy, kiedy znaleźli się znowu przy Dance. - Wtedy oblejemy przyszły interes.

- Tak jest - odpowiedział - robiąc jednocześnie pożegnalny gest w stronę towarzystwa, gdyż opuszczał już teren plaży.

XII

Sierżant lubił ten rodzaj zajęć. Pozwalały mu one na dużą, utrzymaną oczywiście w granicach norm prawnych, swobodę w wyszukiwaniu różnych forteli i kruczków, a przede wszystkim wymagały samodzielności i inwencji.

Tym razem do wykonywania zadania zabrał się ze szczególną starannością. Przede wszystkim stwierdził, że w nabytym ostatnio letnim garniturze, eleganckiej koszuli oraz modnym, szerokim krawacie, zawiązanym w gruby węzeł, prezentował się rzeczywiście jak obywatel zasobny w gotówkę i mogący wyglądać na solidnego i zdecydowanego nabywcę kosztownej biżuterii. A żeby nie było wątpliwości, że się w niej lubuje, postanowił ją też nosić. W tym celu złożył wizytę mecenasowi Waniewskiemu.

Ten przyjął go jak zawsze serdecznie.

- Co za rzadki gość - powtarzał znany adwokat prowadząc sierżanta do gabinetu.

- Sądząc z ubioru - mówił śmiejąc się - wygląda pan jak szczęśliwy, narzeczony, który przyszedł zaprosić przyjaciela na swój ślub. - Zgadłem? Czy też sprowadzają pana tu sprawy służbowe?

- Raczej to drugie.

Adwokat usadowił gościa w fotelu, a sam otworzył barek.

- Whisky czy koniak? - spytał.

- Jeśli wolno grymasić, to trochę wermutu z wodą sodową i lodem.
- Dobra myśl, ja się też napiję.

Mecenas przyrządził napój w dużych, kryształowych szklankach.

Znajomość, jaką zawarł przed laty ze znanym łódzkim mecenasem młody jeszcze wówczas plutonowy, przerodziła się w przyjaźń.

Na jednej z rozpraw adwokat ten był obrońcą w dość zagmatwanej sprawie, w której jego klientowi groził wysoki wyrok za dokonanie włamania. Doszło wtedy do ostrej wymiany zdań między mecenasem a występującym w charakterze świadka plutonowym. W konsekwencji okazało się, że znakomity adwokat pomylił się w swym wywodzie, mając na myśli innego oskarżonego. Od całkowitej kompromitacji uratował mecenas sędzia, który, szybko zorientował się w pomyłce adwokata, gdyż prowadził także poprzednią sprawę. Adwokata ujął wówczas młody milicjant, po rozprawie bowiem, mimo swych racji, zachował się wobec starego mecenasa bardzo ładnie i taktownie.

Adwokat Waniewski po tej zabawnej i szeroko komentowanej w środowisku sądowym i adwokackim wpadce wycofał się całkowicie z występowania w sądach, poświęcając się wyłącznie udzielaniu porad prawnych i pisaniu pamiętników. Publikacje te, oparte głównie na bogatych, osobistych wspomnieniach, cieszyły się dużą poczytnością, przynosząc mu niezłe dochody, bez których zresztą był także człowiekiem majątnym, gdyż w swojej wieloletniej i pracowitej karierze adwokackiej uzbierał sporo pieniędzy.

Waniewski chętnie przyjmował u siebie wizyty młodego milicjanta, którego ciekawiły barwne opowiadania z praktyki adwokata. Sam też zwierzał się ze swoich różnych kłopotów, zasięgając opinii Waniewskiego na tematy od spraw sercowych począwszy, a na prawnych kończąc.

- Mam do pana mecenasa dość nietypową prośbę - przystąpił do rzeczy sierżant.

- Proszę bardzo - spełnię każdą - jeśli to tylko będzie w mojej mocy. - Mów śmiało, przyjacielu - zachęcił adwokat.

- Chciałbym - sierżant zmieszał się trochę - pożyczyć od pana na dzień, dwa, może trzy, złoty zegarek z dewizką i jakiś złoty pierścionek.

- Ależ to drobiazg - roześmiał się mecenas. - Służę całą moją skromną biżuterią i nie pytam, w jakim celu jest potrzebna. Powiedz tylko, czy domyślam się prawdy: chcesz zaimponować komuś?

- Tak - potwierdził sierżant.

- Chodzi o dziewczynę czy o sprawę służbową?

- O sprawę służbową - odparł sierżant.

- Nie pytam więcej, proszę, tu jest ta biżuteria.

Mecenas podniósł się z fotela i ze schowka w biurku wydobyl niewielką szkatułkę z ozdobnymi okuciami. Było w niej kilka sygnetów, dwa zegarki, złote spinki, bransoleta i różne pierścionki.

- Wybieraj, co chcesz, młody człowieku - adwokat podał szkatułkę przyjacielowi.

Sierżant wyjął ze szkatułki zegarek z dewizką i jeden z pierścionków.

- Proponowałbym raczej sygnet, będziesz wyglądał bardziej po męsku - poradził mecenas z uśmiechem.

- Wolę pierścionek - zdecydowanie odparł sierżant.

- Twoja wola, przyjacielu - zgodził się mecenas.

Sierżant schował zegarek do kieszonki kamizelki, wypuszczając na zewnątrz dewizkę. Usiadł ponownie w fotelu, podpierając brodę ręką ozdobioną pierścionkiem. Uśmiechnął się do mecenasa:

- Czy dobrze wyglądam?

Ten lekko skrzywił się:

- Tak, ale powiem ci szczerze, że przypominasz mi dorobkiewicza, który snobuje się złotem.

- To świetnie - ucieszył się sierżant. - O to mi właśnie chodzi.

- Czy mam zostawić pokwitowanie? - spytał wstając.

- Żartujesz, przyjacielu. Obiecuj mi tylko, że kiedyś, po skończonej sprawie, opowiesz, po co potrzebna była ci ta dekoracja.

- Oczywiście - odparł sierżant i pożegnał mecenasa.

Już drugi dzień sierżant Paprocki odwiedzał sklepy i komisje jubilerskie oraz pracownie złotników. Wszędzie bez skutku. Nigdzie nie mógł znaleźć tego, co go interesowało. W końcu na liście oznaczonych do odwiedzenia sklepów i pracowni został jeszcze jeden sklep komisowy na przedmieściu. Dochodziła osiemnasta. „Zajrzę jeszcze do tego sklepu, a później złożę wizytę mecenasowi i skończę z rolą człowieka lokującego kapitał w biżuterię” - pomyślał.

W komisie jubilerskiej, zapewne z powodu późnej już pory handlowej jak i ciepłego popołudnia, nie było klientów. Toteż na widok gościa wysunął się sam kierownik. Z miejsca obrzucił przybysza dyskretnym spojrzeniem i zauważył złotą dewizkę zegarka i kosztowny pierścień na ręku.

- Czym mogę szanownemu panu służyć?

- Szukam ładnego sygnetu - wyraził życzenie klient.

- Ależ to nic prostszego, dobrze pan trafił, mamy ich duży wybór. Proszę do tej gabloty. - Kierownik prowadził gościa w głąb sklepu.

Sierżant przez chwilę przyglądał się badawczo wyłożonej biżuterii. Sygnetu, który chciałby kupić, tutaj niestety też nie było. Miał już wyjść ze sklepu, ale wobec usłużnego wzroku kierownika żal mu było tak nagle rozwiać jego nadzieje na dokonanie transakcji.

- Wie pan, żona moja ciągle krytykuje mnie, że noszę ten pierścień - wyciągnął rękę w stronę kierownika. - Mówi, że mężczyzna powinien nosić wyłącznie sygnet z monogramem. Przyrzekłem więc jej dziś rano, kiedy wyjeżdżałem do Łodzi, że jeśli znajdę taki, który mi się będzie podobał, to kupię. Niestety, nie widzę tu odpowiedniego dla mnie. Wszystkie mają już wygrawerowane monogramy, ale żaden nie pasuje do moich inicjałów.

- A z jakimi inicjałami chciałby pan mieć Sygnet? - zainteresował się kierownik.

- JB, Józef Balicki - odpowiedział sierżant.

- Proszę zaczekać - mam jeszcze kilka na zapleczu, nie zdążyliśmy ich jeszcze oznakować i wstawić do gabloty.

Kierownik zniknął na moment za kotarą, skąd wyniósł płaskie pudełko z kilkunastoma sygnetami. Jeden z nich przykuł od razu wzrok sierżanta. To był jego sygnet!

Powoli zaczął oglądać wszystkie po kolei. W końcu wziął do ręki ten właściwy, którego szukał.

- O, są tu nawet potrzebne dla mnie inicjały! - wykrzyknął uradowany. Włożył sygnet na palec. Pasował jak ulał.

- Jaka jest jego cena? - spytał.

Dwadzieścia pięć tysięcy - odpowiedział bez wahania kierownik widząc, że sygnet podoba się klientowi.

- Cena trochę wygórowana. Robota wprawdzie ładna, ale nie waży on, zdaje się, nawet dwudziestu gramów? - wykazał swoje znawstwo sierżant.

- Sam pan mówi, że ładna robota. Ja panu powinienem wyjaśnić, - to jest misterna, ręczna praca artysty-rzemieślnika. Ten sygnet kupuje pan bardzo tanio.

- A kto oddał w komis ten sygnet do sklepu? - zainteresował się sierżant.

- To nie ma nic do rzeczy - odparł kierownik. - Robię panu grzeczność pokazując wyroby jeszcze niewystawione do sprzedaży, a pan zaczyna od razu od jakiegoś śledztwa. Czas zamykać sklep, podam więc krótko po męsku ostateczną cenę - dwadzieścia trzy tysiące i sygnet pański. Bez żadnych rachunków i paragonów. Zgoda?

- Rzeczywiście ciekawa propozycja - zgodził się sierżant. - Proszę pani - zawołał nagle w

stronę kasy, gdzie siedziała młoda dziewczyna i czytała książkę. Proszę tu na moment.

Ta trochę zdziwiona podniosła się i podeszła do mężczyzn. Kierownik zaniepokoił się.

- O co panu chodzi? - spytał czerwieniąc się.

- Zaraz panu wyjaśnię - odparł sierżant. - Proszę, oto moja legitymacja służbowa. Wyłączam ten przedmiot ze sprzedaży, zatrzymując go do dyspozycji prokuratora. Proszę sporządzić odpowiedni dokument na tę okoliczność, a pani będzie świadkiem. Proszę też o książkę zawierającą spis dostawców.

- Kiedy, kiedy - kierownik zmieszał się - ten klient nie jest jeszcze wpisany do książki.

- To znaczy, że nie ma pan jego adresu?

- Ależ skądże, mam, tylko jeszcze tu w notesie. Proszę bardzo - wyjął z kieszeni notes podając potrzebne nazwisko i adres. - Od moich znajomych - mówił nadrabiając miną kierownik nie zawsze wymagam wszystkich formalności...

- Aby przyjąć marzę do własnej kieszeni - dokończył sierżant. - Sprawą nieewidencjonowania przedmiotów w sklepie zajmie się dyrekcja i tam będzie pan się tłumaczył. Ja w tej chwili zatrzymuję sygnet i proszę o pokwitowanie.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła siódma. „Ciekawe, kogo mi przydzielą do pomocy” - pomyślał wyciągając rękę w stronę telefonu.

XIII

Dzień ten był wyjątkowo słoneczny, toteż Wirski wrócił z plaży późnym popołudniem. „Jaka szkoda, że Zenka tu jeszcze nie ma” - myślał siedząc samotnie na werandzie i rozkoszując się chłodnym powiewem.

Dni przy dobrej pogodzie płynęły szybko i do końca zaplanowanego urlopu pozostał jeszcze tydzień. Tymczasem Zenek nie daje znaku życia, co chyba oznacza, że chce mu zrobić niespodziankę i przyjechać bez zapowiadania. Spojrzał na zegarek. Powinien właściwie iść do znajomych z plaży, z którymi umówił się na brydża. Samotność dokuczała mu już bardzo, a dostępne książki, które warto było przeczytać, też się skończyły.

- Telefon do pana - na tarasie ukazał się portier.

„Ach, ci karciarze już się niecierpliwią, że nie przychodzę - pomyślał”.

Podszedł do telefonu, ale zamiast głosu brydżysty usłyszał Górskiego:

- Czy to ty, Andrzej? Jak się czujesz?

- Zenek - wykrzyknął z radością Andrzej. - Kiedy tu wracasz? Skąd dzwonisz? Czy znaleźliście już mordercę? - zaczął zasypywać przyjaciela pytaniami.

- O wszystkim usłyszysz w swoim czasie - w odpowiedzi zabrzmiał spokojny. głos kapitana. Mam nadzieję, że już wkrótce będę u ciebie. A teraz posłuchaj, mam do ciebie sprawę. Czy przypominasz sobie naszą rozmowę z takim zawianym facetem, który przysiadł się do nas do stolika w restauracji w Międzyzdrojach?

- Oczywiście. To był jakiś producent zabawek, który proponował nam dobry zarobek przy akwizycji jego towaru. Czyżby cię to już zaczęło interesować? - zażartował Andrzej.

- Jeżeli dobrze pamiętam, wzięłeś od tego człowieka wizytówkę, czy tak? - Zenek nie podjął żartobliwego tonu rozmowy, a w głosie jego dało się wyczuć zniecierpliwienie.

- Oczywiście. Nigdy nie wiadomo, co człowieka może spotkać - odparł Wirski.

- To świetnie - ucieszył się Zenek - podaj mi jego adres - ponaglił.

- Z tego wynika, że ciebie zainteresowała ta praca? Przyznaj się. - młody matematyk był wyraźnie rozbawiony.

- Możliwe, ale daj mi zaraz ten adres - niecierpliwił się Górski.

Wirski wyjął z kieszeni portfel, odszukał wizytówkę i podyktował:

- Edward Kowalski, Otwock, ul Konwaliowa 7.

- Świetnie się spisałeś - ucieszył się kapitan - czekaj wkrótce na wiadomości. Do zobaczenia - dodał i rozłączył się.

Wirski odłożył słuchawkę i spojrzał na portiera jakby ten miał mu wyjaśnić, o co chodziło Zenkowi.

W drodze na umówionego brydża zastanawiał się nadal, w jakim celu przyjacielowi potrzebny był ten adres. Nagle przystanął i uderzył się w czoło. „Jakie to proste! Przecież ten człowiek był tu, w Międzyzdrojach, i on jest prawdopodobnie zabójcą Bojarskiego. Dlaczego go jednak zabił? Żeby obrabować z sygnetu? A taki był przyjemny i wesoły facet. Trudno jednak przeświecić drugiego człowieka” - westchnął melancholijnie i przyśpieszył kroku.

XIV

A więc w Międzyzdrojach był i siostrzeniec Bojarskiego. Dlaczego się jednak do tego nie przyznał rodzinie? Dlaczego robił z tego tajemnicę?

Rozmowa z wytwórcą zabawek nie pozostawiała w tym względzie żadnych wątpliwości.

„Kajtek”, jak do tej pory, nie był sprzedawany nigdzie poza Wybrzeżem. Właśnie tam, w Międzyzdrojach, w dniu 16 lipca wytwórca wprowadził do sprzedaży pierwszą partię towaru, a następnie pojechał do Świnoujścia. Właśnie wtedy, gdy odwiedził go Górski, wysłał ajenta z nową przesyłką na Wybrzeże Gdańskie.

Według jego relacji maskotka nie mogła być w żadnym przypadku w sprzedaży w Łodzi. Twierdzenie Zbyszka, że kupił „Kajtkę” w kiosku łódzkim, było więc kłamstwem. Gdyby powiedział, że dostał go w prezencie, wówczas kapitan mógłby się zasugerować, że podarował mu zabawkę ktoś, kto wrócił znad morza. Zbyszek zapytany przez Górskiego, gdzie kupił zabawkę, zawahał się, zanim odpowiedział, że w kiosku w Łodzi. Kapitan moment ten pamiętał doskonale.

Prawdopodobnie chłopak po przyjeździe do Międzyzdrojów, czekając na wuja, zobaczył w kiosku zabawkę i kupił ją.

Ale, ale - Górski potarł ręką czoło - przecież widziałem już tę maskotkę podczas pierwszej wizyty u siostry Bojarskiego w samochodzie stojącym przed domem. Mogłem już wówczas skojarzyć sobie ten fakt z opowiadaniem tego przygodnego znajomego z knajpy i zainteresować się samochodem i jego właścicielem.

Kapitan polecił wykonać zdjęcie Zbyszka w samochodzie. Pokazano tę fotografię Zalewskiemu. Ten widział wiele podobieństwa z kierowcą z Międzyzdrojów, ale nie był pewien, czy to ten sam człowiek.

Informacje zebrane przez funkcjonariusza o młodzieńcu ukazywały go w nie najlepszym świetle. Zbyszek lubił trwonić pieniądze, grał w karty, był hojny dla koleżanek i kolegów. Z kłopotów finansowych wybawiał go zawsze wuj. Ciągłe jednak groził, że powie o jego sprawkach ojcu, którego Zbyszek bał się bardziej niż matki. Chłopak więcej interesował się warsztatem wuja niż nauką prawa. Uważał, że to mu się bardziej opłaca niż studia. Mógł liczyć, że ojciec, pracownik instytutu i schorowana matka nie zajmą się warsztatem, gdyby go otrzymali w spadku, wtedy zaś...

Ale jak to wszystko rozegrać? Jak znaleźć złoty sygnet? Sygnet, który mógł być ważnym dowodem rzeczowym w sprawie... A przede wszystkim jak udowodnić, dysponując jedynie przypuszczeniami, że to siostrzeniec zabił wuja. Zapytać go wprost, dlaczego robi tajemnicę z wizyty u niego w Międzyzdrojach? Odpowie, iż tam w ogóle nie był, bądź że ze względu na rodziców trzymał ten fakt w tajemnicy i zdwoi swą ostrożność.

Jeżeli zdjął wujowi sygnet, to co z nim zrobił? Gdzie może go przechowywać? Śledzić chłopca nieustannie i czekać, aż popełni jakiś błąd? To też nie jest wyjście, a czas pracuje zwykle na korzyść przestępcy.

Kapitan sięgnął po pióro, ale już po pierwszych słowach: „Należy skoncentrować się... ” - urwał pisanie i zaczął zastanawiać się nad dalszym ciągiem.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Proszę - zawołał kapitan rad, że może oderwać się od swoich myśli, które przelane na papier przyśpieszyłyby rozwiązanie całego problemu lub jeszcze bardziej go zagmatwały.

Wszedł sierżant przydzielony przez miejscową komendę do pomocy Górskiemu. Miał uradowaną minę. Kapitan spojrzał pytająco.

- Szefie - sierżant promieniał - znalazłem w komisowym sklepie jubilerskim poszukiwany sygnet. Wstawił go wczoraj niejaki Wiśniewski, zamieszkały przy ulicy Żeromskiego...

- Odnaleźliście go? - przerwał kapitan.

- Tak jest i zgodnie z poleceniem zatrzymałem. Sygnet, jak oświadczył, wygrał w karty. Najciekawsze, że wygrał go - tu sierżant zawiesił głos i zrobił tajemniczą minę, aby wywołać odpowiedni efekt swą informacją, ale nim zdążył powiedzieć słowo, usłyszał spokojny głos uśmiechniętego kapitana:

- Od siostrzeńca Bojarskiego.

Wesoła twarz sierżanta posmutniała. Wyglądał, jakby pozbawiono go nagle kosztownego, nieosiągalnego już przedmiotu.

- Nie, - ja nie trzymałem tego w tajemnicy, upewniłem się dopiero w momencie, kiedy powiedzieliście, że Wiśniewski wygrał sygnet w karty - wyjaśnił kapitan i wstał.

- Porozmawiamy teraz z tym Wiśniewskim, a później pojedziemy po Zbyszka. To będzie duży wstrząs dla jego rodziców; Żal mi ich.

- Co jeszcze? - przystanął, widząc, że sierżant chce mu coś powiedzieć.

- Chodzi mi o tę zabawkę - sierżant wskazał głową na „Kajtka” stojącego na środku biurka. - Czy ta maskotka ma jakiś związek z zabójstwem?

- Tak. Naprowadziła nas na ślad. Trochę za późno, lecz to nie wina „Kajtka” - westchnął kapitan. - Ale o szczegółach porozmawiamy później.

XV

Dwa dni później kapitan Górski siedział w wygodnym, wiklinowym fotelu ze swym przyjacielem Andrzejem Wirskim na tarasie pensjonatu w Wircinach. Był ciepły wieczór i po całodziennym pobycie na słońcu przyjemnie było czuć chłodny powiew od morza. Wirski

postarał się o butelkę koniaku i wodę mineralną z lodem. Już od rana, kiedy Górski powrócił, by dalej urlopować, usiłował dowiedzieć się czegoś o szczegółach sprawy, ale przyjaciel był nieustępliwy, zbywszy jego pytania i odkładał rozmowę na wieczór.

- Jak pamiętasz - zaczął Górski przyjechałem do Łodzi z zamiarem ujęcia zabójcy Bojarskiego. Sprawa wydawała się dość prosta i stereotypowa. Zazdrosny mąż zabija kochankę żony. Tłumaczy się nieudolnie, organy ścigania nie mają problemu z udowodnieniem mu tego.

Namirski początkowo zaprzeczał, że wyjeżdżał do Międzyzdrojów, ale bez trudu udowodniliśmy mu, że nie było go w tym czasie tam, gdzie podawał. Uznał w końcu, że kręcenie nie oplaca mu się, tym bardziej, że nie był winny zabójstwa. Ale wówczas ciągnął opowiadanie kapitan - o tym jeszcze nie wiedzieliśmy. W dodatku przeszłość Namirskiego, bynajmniej nie kryształowa, pozwalała na różne przypuszczenia. Sytuacja przedstawiała się niezbyt jasno. Brakowało nam dowodów. Nikt z przesłuchiowanych nie mógłby na pewno stwierdzić, że ci dwaj ludzie rozmawiali ze sobą w Międzyzdrojach czy wcześniej w Łodzi. Co więcej, jedyny świadek, który ostatni widział żyjącego Bojarskiego, zdecydowanie zaprzeczył, aby Namirski mógł być rozmówcą Bojarskiego przed pensjonatem „Bogdanka”. Namirski otrzymywał również anonimy na temat romansu żony...

- Przesyłał je siostrzeniec Bojarskiego - przerwał Wirski, chcąc się pochwalić przed przyjacielem swoim logicznym rozumowaniem.

- Nie - odpowiedział Górski. - Przesyłał je jeden z pracowników warsztatu Bojarskiego. Miała to być zemsta na wymagającym szefie. Anonimy pisane były na podstawie zasłyszanych rozmów telefonicznych, jakie przeprowadzał Bojarski, na maszynie będącej wyposażeniem kantorku warsztatu.

- W jaki zatem sposób doszedłeś do wniosku, że zbrodnię popełnił siostrzeniec?

- Hm - Górski pociągnął łyk koniaku i przez moment milczał. Trochę to kłopotliwe dla mnie, starego praktyka, przyznawać się, że dopomógł mi przypadek. Ale niestety tak było. Wcześniej zastanawiałem się oczywiście nad tym, czy śmiercią Bojarskiego nie mogła być zainteresowana któraś z osób liczących na spadek. Ale szybko wyeliminowałem całą rodzinę. Siostra odpadła natychmiast, szwagier, po zebraniu o nim opinii, także był poza podejrzeniem, a siostrzeniec - przyznam się, że jego nie brałem w ogóle pod uwagę jako potencjalnego mordercy. Wuj go bardzo kochał, systematycznie zasiliał kasę; a kiedy dostał się na studia, kupił mu nawet fiata. Dokładne zajęcie się jego osobą wydawało mi się zbyteczne. Na ogół nie zabija się swoich dobroczyńców.

- To znaczy, że gdybyś się zajął szczegółowo całą rodziną, ująłbyś zabójcę wcześniej? -

spytał Wirski.

- Być może, że tak. Nie jestem pewien. Wprawdzie chłopak grywał w pokera, miewał długi i opuszczał się w nauce, ale to jeszcze za mało, żeby stawiać go w kręgu podejrzanych osób. Tym bardziej że już na początku dowiedziałem się, że Zbyszek nie wyjeżdżał na wakacje za karę; to znaczy rodzice postanowili, że ma uczyć się przez całe lato, żeby zdać egzaminy potrzebne do zaliczenia roku. W tych warunkach nie miałem podstaw do przypuszczeń, że chłopak pozwolił sobie na tak daleką eskapadę.

- A więc jak doszedłeś do tego?

- Właśnie. Dziwiłeś się, kiedy dzwoniłem, żeby dowiedzieć się o nazwisko tego faceta, który sprzedawał zabawki. Pamiętasz?

- Oczywiście. Przypuszczałem, że to jest faktyczny zabójca.

- Nic błędniejszego - powiedział Górski. - Popelniasz typowy błąd. Z faktu, że kimś interesuje się milicja, wcale nie musi wynikać, że osoba ta ma coś na sumieniu. A żeby doprowadzić do zamknięcia bandyty czy złodzieja milicja musi często rozmawiać z dziesiątkami czy nawet setkami porządnymi, uczciwymi obywateli. Ale wracam do sprawy.

Otóż podczas jednej z wizyt w warsztacie skorzystałem z uprzejmości tego chłopaka, który podwiózł mnie samochodem, i wtedy zobaczyłem w wozie maskotkę, nazwaną przez Zbyszka Kajtkiem-polewaczem. Dopiero wówczas skojarzyłem to sobie z opowiadaniem naszego przygodnego znajomego z restauracji, który mówił, że pierwszą partię tych zabawek sprzedał w Międzyzdrojach. Nie omieszkałem spytać Zbyszka, gdzie nabył maskotkę. Powiedział, że w Łodzi. Poleciałem to sprawdzić. Okazało się, że skłamał. Maskotkę taką mógł kupić jedynie na Wybrzeżu, gdzie indziej nie były sprzedawane. Już wówczas miałem cień podejrzenia, a wizyta w Otwocku i rozmowa z wytwórcą zabawek utwierdziła mnie w tym, że Zbyszek odwiedził wuja, z czym się krył.

- I to był dowód wystarczający?

- Nie, potrzebni byli, jeszcze świadkowie bądź inne dowody. I kiedy stanąłem przed dylematem, jak poprowadzić dalej sprawę, żeby udowodnić mu winę, chłopak popełnił nieostrożność. Obawiając się, że jeden z graczy, do którego przegrał większą sumę, a nie miał czym zapłacić, może przyjść do jego rodziców, zaoferował mu w zastaw sygnet, który zdjął z ręki wuja. Miał podstawy, by wierzyć, że tamten sygnetu nie wypuści z rąk. Poprosił go o to nawet i twierdził, że z uwagi na wartość rodzinnej pamiątki wkrótce wykupi pierścień za dużo większą kwotę. Nie mógł jednak przypuszczać, że karciarz ten trafi na lepszego gracza i przyciśnięty do muru pójdzie do komisju spieniężyć sygnet.

- A co on teraz mówi? Od kiedy planował zabójstwo wuja?

- Tak ostro i zasadniczo nie stawiałbym sprawy. Gotów jestem nawet wierzyć, że rzeczywiście pojechał do wuja z zamiarem uproszenia go, aby jeszcze raz poratował go w spłaceniu honorowego długu. Chodziło o sumę ośmiu tysięcy złotych. Wuj wiedział, że chłopak wykorzystuje jego słabość i tym razem postanowił skończyć ze swą hojnością, żeby nie przyczynić się do deprawacji chłopca. Przyrzekał to zresztą swojej siostrze. Być może, że wtedy pod wpływem rozpaczy i uniesienia Zbyszek chwycił kamień i uderzył wuja. Okazało się wówczas, z jakim wyrachowaniem i zimną krwią potrafi działać. Szybko ocenił, że fakt zabicia wuja może ukryć. O wyjeździe do Międzyzdrojów nikomu nie mówił. Nad morzem też nie spotkał żadnych znajomych. W pensjonacie z nikim nie rozmawiał, poza starym dozorcą, którego pytał o pokój Bojarskiego. Było już wtedy ciemno i mógł przypuszczać, że dozorca go nie zapamięta. Przypuszczenie słuszne, bo dopiero teraz dozorca przypomniał sobie o tym fakcie. Zabrał więc sygnet wuja, którego wartość znał, i wrócił do Łodzi. W domu też nie miał kłopotów z tłumaczeniem się gdzie był, bo często nie wracał na noc pod pozorem nauki u kolegi. Uważał, że będzie poza kręgiem podejrzanych osób i tak początkowo było.

- A gdyby nie kupił „Kajtka”?

- Byłoby o wiele trudniej wpaść nam na trop właściwego zabójcy, ale pamiętaj, że pozostawał jeszcze pierścień, koledzy, znajomi.

- Przyznaj, że w tym przypadku zabójcę wykrył nie kapitan Górski tylko „Kajtek” - zażartował Wirski.

- Masz rację - westchnął Górski - ale chodźmy już spać, bo za chwilę powiesz, że sprawę rozwiązaliśmy dzięki bytności w knajpie. Chociaż, kto to wie?...